

URODZINOWY LICZNIK, 200 LAT UW

STR. 34



2 ■ UNIWERSYTECKIE
CENTRUM
WOLONTARIATU

10 ■ PRACOWNICY
Z DWÓCH ŚWIATÓW

12 ■ SEKRETNE WYZNANIA
NAUCZYCIELA
AKADEMICKIEGO

23 ■ ODSAPNIJMY,
CZYLI
O INFORMATYZACJI
UCZELNI



Tym razem początek roku akademickiego świętować będą nie tylko pracownicy i studenci, ale również piętnastka uniwersyteckich maluchów. To dzieci pracowników i doktorantów UW, które uczęszczać będą do nowo otwartego żłobka, działającego na uczelni. Na utworzenie żłobka zdecydował się też Uniwersytet Śląski, a spółka założona przez Uniwersytet Jagielloński uruchamia w tym roku przedszkole. O takiej placówce myśli też SGGW. Politechnika Wrocławska poszła o krok dalej. Od przyszłego roku działać tam będzie też gimnazjum i liceum.

WYDARZENIA

4. MALUCH W BIRECIE

PAŹDZIERNIK 2013
Uniwersytet Warszawski
5/65

REDAGUJĄ:

Anna Korzekwa, Olga Basik, Katarzyna Łukaszewska,
Katarzyna Majewska, Izabela Wolczaska
ZDJĘCIA (jeśli nie zaznaczono inaczej):
Mirosław Kaźmierczak

ADRES REDAKCJI:

Biurowisko Prasowe Uniwersytetu Warszawskiego
Krakowskie Przedmieście 26/28
00-927 Warszawa
tel. (+48 22) 55 20 740, 55 24 066
e-mail: pismo-uczelnia@uw.edu.pl
www.pismo-uczelnia.uw.edu.pl

STALE WSPÓŁPRACUJĄ:

dr Robert Gawkowski, dr Hubert Kowalski,
prof. Marcin Kula, prof. Jerzy Miziołek,
prof. Wojciech Tygielski, prof. Andrzej Udalski

WYDAWCA:

Wydawnictwo UW, Nowy Świat 4,
00-497 Warszawa

PROJEKT GRAFICZNY,

SKŁAD I ŁAMANIE:

Anna Zagrajek, Studio Układanka

DRUK:

Drukarnia POZKAL
Nakład: 5 000 egz.

Redakcja zastrzega sobie prawo do
redagowania, dokonywania skrótów oraz
odmowy publikacji nadesłanych materiałów.
Redakcja nie odpowiada za treść reklam.

OKŁADKA:

Pałac Tyżkiewiczów-Potockich,
fot. M. Kaźmierczak

WYDARZENIA

2. FILANTROPIA SPRZEŻONA
Izabela Wołczaska

4. MALUCH W BIRECIE
Olga Basik

5. KALEJDOSKOP

8. NOMINACJE PROFESORSKIE

9. DO BIEGU, GOTOWI, KLIK!
Olga Basik

DZIŚ I JUTRO

10. PRACOWNICY Z DWÓCH ŚWIATÓW
Katarzyna Majewska

12. SEKRETNE WYZNANIA NAUCZYCIELA AKADEMICKIEGO
Marcin Kula

15. OD RYZYKA DO RUTYNY
Rafał Smoleń

BADANIA

17. KONTROLA LOTÓW
Izabela Wołczaska

18. OBSERWACJA I EKSPERYMENT
Anita Pieńkowska

20. W SOCZEWCE

PREZENTACJE

23. ODSAPNIJMY!
Katarzyna Łukaszewska

25. SIEĆ POŁĄCZEŃ
Katarzyna Majewska

26. UNIWERSYTET – DOBRZE NAOLIWIONA MASZYNA?
Katarzyna Łukaszewska

VARIA

28. DWORSKIE MEDIA
Olga Basik

29. MEDYTACJE PROF. LAJKONIKA

30. COPY & PASTE

INWESTYCJE

32. ZŁOTA JEST ZE ZŁOTA
Olga Basik

UW W LICZBACH

33. DOBRZE POLICZONE
Olga Basik

URODZINOWY LICZNIK. 200 LAT UW

34. FETA W CZASIE MAŁEJ STABILIZACJI
Robert Gawkowski

DZIEJE UW

36. LAURKI I KRYTYKA
Adam Tyszkiewicz

39. PREKURSOR FREUDA ANALIZUJE UNIWERSYTET
Jerzy Miziołek

44. KLASYCZNE WZORCE RODEM Z GRECJI
Jerzy Miziołek, Hubert Kowalski

47. FIZYK I JEGO WIERSZE
Robert Gawkowski

48. ODESZLI



FILANTROPIA SPRZĘŻONA

Wolontariat kojarzony jest często z niełatwą pracą, za którą nie otrzymuje się wynagrodzenia, z czuwaniem przy łózkach pacjentów w hospicjach, sztabem ludzi, który pomagał podczas ubiegłorocznych, piłkarskich mistrzostw Europy lub Akademickich Mistrzostw Świata w Programowaniu Zespołowym czy też z ochotnikami dbającymi o opuszczone zwierzęta w schroniskach. To jednak tylko najprostsze skojarzenia. Tak naprawdę wolontariusz może robić niemal wszystko – to od niego zależy, w jaką pracę będzie się angażował. Równie dobrze może wziąć udział w organizacji 200-lecia Uniwersytetu Warszawskiego, pomagać w Muzeum Powstania Warszawskiego czy też pomalować ściany w osiedlowym klubie sportowym. Już wkrótce studenci, pracownicy, a także emeryci UW, którzy chcą robić coś dla innych, będą mieli okazję spróbować swych sił, ponieważ na uczelni rozpoczyna działalność Uniwersyteckie Centrum Wolontariatu.

Z danych zebranych przez Stowarzyszenie Klon/Jawor, które badało społeczne zaangażowanie Polaków wynika, że w 2010 r. jedynie 16% z nas deklarowało, że wzięło udział w inicjatywach wolontariackich w ciągu 12 miesięcy poprzedzających badania. To sprawia, że na tle pozostałych państw europejskich znajdujemy się daleko w tyle. Niełatwo będzie dogonić takie kraje jak Dania, Szwecja czy Holandia, gdzie wolontariat wpisany jest w proces edukacji, a na tę formę spędzania czasu decyduje się ponad 30% społeczeństwa.

NIE NA SUCHO

– W Polsce jeszcze słabo rozumiemy ideę wolontariatu, najczęściej kojarzymy wolontariat z pochylaniem się nad ludźmi w potrzebie oraz akcjami Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Zupełnie nie dostrzegamy, że jest to niezwykła okazja do rozwijania własnych kompetencji. Przez pomaganie innym, pomagamy także sobie – mówi prof. Anna Giza-Poleszczuk, prorektor UW ds. rozwoju i polityki finansowej. – Wolontariat daje nam możliwość sprawdzania się w działaniu. W szkole podstawowej, średniej czy na studiach cały czas ćwiczymy coś „na sucho”, ale to najczęściej nie daje przełożenia na prawdziwe życie, prawdziwą zmianę i prawdziwe

efekty. Wiem, że trenowanie umysłu jest niezwykle ważne, ale równie istotne jest skonfrontowanie naszych umiejętności z rzeczywistością oraz poniesienie odpowiedzialności za to, co robimy – dodaje.

BAROMETR WSPÓŁPRACY

Oficjalne otwarcie Uniwersyteckiego Centrum Wolontariatu nastąpi w listopadzie podczas Święta UW. Przyszli wolontariusze będą mogli zgłaszać się do siedziby centrum, która znajduje się w budynku Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie na parterze. Tam zapoznają się z ofertami wolontariatu, a ci mniej zdecydowani, którzy jeszcze nie mają pomysłu, w co dokładnie powinni się zaangażować, będą mogli liczyć na wskazówki pracowników centrum. – Nasze zadanie będzie również polegało na pośredniczeniu między wolontariuszami a firmami oraz instytucjami. Będziemy sprawdzać wiarygodność potencjalnych partnerów, którzy chcieliby nawiązać współpracę z uniwersyteckimi wolontariuszami. Będziemy współpracować tylko z organizacjami certyfikowanymi, bo zależy nam, by nasi wolontariusze nie trafiali w przypadkowe miejsca – wyjaśnia Katarzyna Żakowska, uniwersytecki koordynator ds. wolontariatu. Dodaje też, że wolontariusze będą mogli korzystać ze szkoleń, m.in. z zakresu pisania wniosków do projektów unijnych dotyczących wolontariatu, autoprezentacji czy też rozwiązywania konfliktów. Kursy te będą organizowane przez centrum.

DOBRO CZYNNY PATCHWORK

Wolontariat uczelniany jest najczęściej wolontariatem kompetencyjnym, polegającym na dzieleniu się wiedzą i umiejętnościami, dlatego jedną z inicjatyw, do której będą mogli przyłączyć się wolontariusze z UW, będzie program Starszy Brat – Starsza Siostra, który ma już ponad stuletnią tradycję. Wolontariusz staje się dla dziecka znajdującego się w trudnej sytuacji życiowej nauczycielem, opiekunem, a nawet przewodnikiem – po prostu *starszym bratem* bądź *starszą siostrą*. Pomaga mu w nauce i rozwiązywaniu życiowych problemów, dzieli się z nim wiedzą i doświadczeniem. Pracownicy Uniwersyteckiego Centrum Wolontariatu są otwarci również na inne formy pomocy. – Czekamy na wszelkie



propozycje, jeśli zbierze się grupa wolontariuszy, którzy będą chcieli wyremontować pokój zabaw w szpitalu dziecięcym, to też chętnie ich wesprzemy – zapowiada Katarzyna Żakowska. Centrum będzie także współpracowało z warszawskimi, sprawnie działającymi ośrodkami pomocy społecznej za pośrednictwem których uniwersyteccy wolontariusze będą mogli wspierać dzieci i osoby starsze. Wśród partnerów, z którymi już została nawiązana współpraca, znajdują się m.in. centrum wolontariatu Muzeum Powstania Warszawskiego, a także fundacje: Orange, Stocznia i Volunteers 4 Sport. – Zamierzamy czerpać z ich doświadczenia. Na przykład fundacja Stocznia będzie wspierała nas w weryfikowaniu instytucji oraz firm, które są przyjazne wolontariuszom, a dzięki fundacji Orange dowiedzieliśmy się, jak sprawnie zarządzać wolontariatem pracowniczym – mówi Katarzyna Żakowska.

SPOŁECZNE SCALENIE

Choć Uniwersyteckie Centrum Wolontariatu stawia dopiero pierwsze kroki to nie oznacza, że na uczelni nikt nigdy nie służył pomocą potrzebującym. Wydziałowe samorządy studenckie niejednokrotnie organizowały akcje dobroczynne oraz zbierały pieniądze na szczytne cele. Czy od października nie będą już mogły tego robić? Czy będą musiały podporządkować się nowo powstałej jednostce? – Nikomu nie chcemy nic nakazywać ani niczego zabraniać. Chcemy wspierać wolontariaty, które już funkcjonują na wydziałach. Możemy pomagać w szukaniu sponsorów, oferujemy też szkolenia dla wolontariuszy. Nie

będziemy nikomu odbierać zasług. Chcemy, żeby zaszczyt pozostał przy tych wszystkich, którzy robią wartościowe rzeczy – zapewnia Katarzyna Żakowska. Do współpracy przekonuje też pani prorektor. – Jestem realistką, nie liczę na to, że wszyscy natychmiast przyjdą i będą chcieli przyłączyć się do centrum, bo to jest proces, który wymaga czasu, tak jak czasu i dużej staranności ze strony centrum wymaga, żebyśmy wszyscy na powrót zrozumieli wartość instytucji, żebyśmy też przekonali się, że dając swoją twarz naszej uczelni działamy na własną korzyść. Wierzę, że to się upowszechni – mówi prof. Anna Giza-Poleszczuk.

Pani prorektor podkreśla również, że powstanie Uniwersyteckiego Centrum Wolontariatu jest dobrą okazją, by wolontariusze, którzy pracują czy uczą się na różnych wydziałach, mogli lepiej się poznać. – To ważne, żebyśmy mieli poczucie, że jesteśmy wspólnotą, że jesteśmy społecznością, która robi potrzebne rzeczy, a nie tylko zajmuje się indywidualną edukacją – stwierdza. Wspólne działanie udowodniłoby, że uczelnia wcale nie musi być odizolowana od otoczenia społecznego i gospodarczego. Być może działalność dobroczynna sprawi, że społeczność uniwersytecka, poszukując rozwiązań palących problemów, nawiąże zupełnie nowe relacje z otoczeniem, jak również ze sobą. – Marzy mi się taka chwila, kiedy ramię w ramię informatyk z łacinnikiem, a także ekonomista z polonistą pójdą czytać bajki dzieciom w Centrum Zdrowia Dziecka – kwituje z uśmiechem pani prorektor.

Uniwersyteckie Centrum Wolontariatu ma siedzibę w budynku Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie przy ul. Dobrej 56/66.

Czynne jest od poniedziałku do piątku od 9.00 do 17.00.

Więcej informacji można znaleźć na stronie www.wolontariat.uw.edu.pl.

Centrum działa przy Uniwersytecie Otwartym UW.

MALUCH W BIRECIE

Pierwsze kroki w nowo powstałym uniwersyteckim żłobku stawia właśnie piętnastka maluchów. Choć może określenie „stawiają kroki” jest trochę na wyrost. Niektóre dopiero uczą się raczkować, najmłodsze ma skończone siedem miesięcy. To dzieci pracowników i doktorantów Uniwersytetu Warszawskiego. Podczas gdy rodzice zajmują się pracą, dziećmi opiekują się wykwalifikowani wychowawcy.

Według danych Głównego Urzędu Statystycznego ze żłobków w Polsce korzysta 4% dzieci, średnia w Unii Europejskiej wynosi 26%. W stołecznych żłobkach publicznych wciąż brakuje miejsc dla ponad 5,5 tysiąca maluchów. Wiele osób biernych zawodowo przyznaje, że nie może wrócić do pracy ze względu na obowiązki domowe. Uniwersytet jako największy pracodawca na Mazowszu i pierwsza warszawska uczelnia otworzył żłobek „Uniwersyteckie Maluchy” dla dzieci pracowników i doktorantów, aby ułatwić im łączenie pracy naukowej z życiem rodzinnym.

Pomysł założenia żłobka zrodził się jeszcze w poprzedniej kadencji. Szansa na przyspieszenie prac pojawiła się teraz. – Dowiedzieliśmy się o konkursie Ministerstwa Pracy na utworzenie przykładowego żłobka, postanowiliśmy z tego skorzystać i uzyskać dofinansowanie – mówi prof. Anna Giza-Poleszczuk, prorektor UW.

Udało się. Znalaziono lokal, wyremontowano go, umeblowano, a we wrześniu odbyła się rekrutacja. Od 1 października maluszki rozpoczną nowy rok razem z Uniwersytetem.

Za jakość pracy z dziećmi oraz pracy opiekunek z rodzicami odpowiada partner Uniwersytetu, Instytut Komeńskiego przy pomocy wolontariuszy z Wydziału Pedagogicznego UW. Instytut jest cenionym ośrodkiem doskonalącym umiejętności wychowawcze nauczycieli, rodziców i opiekunów małych dzieci.

– Wspomagamy wysoką jakość edukacji małych dzieci. Działamy w żłobkach, przedszkolach i szkołach podstawowych, ale to nasz pierwszy raz na uniwersytecie – mówi Monika Rościszewska-Woźniak, prezes Instytutu. – Naszym celem jest nie tylko opieka, ale także rozwój i edukacja dzieci. Będziemy je uważnie obserwować i na podstawie kontaktu z nimi oraz z rodzicami stymulować ich rozwój. Chcielibyśmy, aby maluchy, które wyjdą z tego żłobka, stały się silnymi przedszkolakami, a później uczniami i studentami np. Uniwersytetu Warszawskiego – dodaje.

CIĄG DALSZY NASTĄPI?

Wśród pracowników i doktorantów UW jest 131 rodziców, którzy zgłosili fakt urodzenia dziecka w 2012 roku. Na spotkanie organizacyjne dotyczące działania żłobka przyszło około 60 osób. Zapotrzebowanie na miejsca jest więc większe niż możliwości. Co dalej?

– Po tak licznej obecności widać, że szybko musimy zacząć myśleć o kolejnym żłobku – mówi pani prorektor. Dużo zależy jednak od inicjatywy rodziców. – Powiedzmy sobie szczerze, prowadzenie żłobków i przedszkoli nie jest naszą podstawową działalnością. To również dla nas będzie pewnego rodzaju eksperyment. Bardzo bym chciała, żeby Uniwersytet Warszawski był uczelnią przyjazną rodzicom – dodała.

W przyszłości planowane jest utworzenie w centralnych dla Uniwersytetu miejscach takich jak kampus Ochota czy Biblioteka Uniwersytecka klubików dziecięcych. – Jestem przekonana, że przy współpracy z Wydziałem Pedagogicznym nam się to uda i że będziemy mieć coraz więcej takich ofert również dla studentów – podsumowuje prof. Anna Giza-Poleszczuk.



■ Placówka mieści się w położonym na parterze 80-metrowym mieszkaniu przy ul. Karowej.

■ W środku jest bardzo kolorowo. Miękki, niebieski dywan, żółte rolety i masa kolorowych zabawek. Cztery duże łóżeczka dla najmniejszych dzieci i wygodne leżanki dla pozostałych. Są krzeselka do karmienia, żółte rolety i masa kolorowych zabawek. Cztery duże łóżeczka dla najmniejszych dzieci i wygodne leżanki dla pozostałych. Są krzeselka do karmienia, pufy, wielka poduchoryba do siedzenia. Dzieci będą chodziły na spacery do pobliskich parków, których na Powiślu nie brakuje. Te większe pomaszczą trzymając specjalną gąsienicę, a mniejsze podróżować będą sześciuosobowym wózkim.

■ Żłobek jest otwarty od poniedziałku do piątku, od godz. 7.00 do 17.00. Dziecko może przebywać w nim do 9 godzin dziennie. Za pobyt dziecka w żłobku do 5 godz. dziennie trzeba zapłacić miesięcznie 300 zł, jeśli maluch zostanie pod opieką dłużej, koszt wzrasta o 100 zł.

■ Za projekt odpowiada Biuro Spraw Socjalnych, zaangażowane w pomoc jest też Biuro ds. Wspomagania Rozwoju.

■ Dofinansowanie w wysokości ponad 581 tys. zł pochodzi z funduszy UE, z programu „Kapitał Ludzki”. Środki własne uczelni to ponad 102 tys. zł.

Mieli po kilkanaście lat i nie mogli znieść braku swobody i terroru. Wielu z nich wyposażonych tylko w koktajle Mołotowa rzuciło się na okupanta, by wyrwać sobie wolność. Ci, którzy przetrwali, spotkali się 1 sierpnia ze społecznością UW.

W czasie Powstania Warszawskiego walki toczyły się także o teren UW, gdzie stacjonowali Niemcy. Wtedy partyzantom z Grupy Bojowej „Krybar” nie udało się zdobyć budynków uczelni, ale 69 lat później każdy swobodnie może pracować lub studiować na UW albo go zwiedzać.

1 sierpnia to dzień powstańców. – To piękny dzień dlatego, że możemy wspomnieć pięknych ludzi. Pięknych, bo mających piękne idee, kochających wolność, ojczyznę – zauważył prof. Alojzy Nowak, prorektor UW ds. badań naukowych i współpracy.

Część młodzieży akademickiej zwraca się ku uczestnikom zrywu z 1944 r., ale czy dziś zdałaby ona egzamin z patriotyzmu? Prof. Janusz Paszyński, pseud. Machnicki, żołnierz „Krybara”, był wykładowcą na Wydziale Geografii i Studiów Regionalnych UW, przekonywał, że wątpliwości

co do tego są przesadzone: – Pamiętam, że 11 XI 1938 r. jeden z naszych kolegów z gimnazjum dostał aparat fotograficzny. Zaproponował, żebyśmy poszli do parku zamiast iść, jak powiedział na patriotyczne nudy, na akademię w szkole. Poszliśmy we czterech kolegów, ale sprawa się wydała. Nasz wychowawca udzielił nam nagany. Jakoś nie skończyło się to wyrzuceniem nas ze szkoły. Ten, który był właścicielem aparatu, po dwuletnim pobycie w sowieckim łagrze, znalazł się w armii Andersa. Walczył pod Monte Casino, gdzie był ranny. Został odznaczony Krzyżem Walecznych. Zmarł kilka lata temu w Kanadzie. Dwóch innych odwiedzam co jakiś czas. Jeden z nich, kpr. pchor. „Bruzda” leży w kwaterze „Parasola”. Drugi, mój przyjaciel Wodziński tak samo. Wydaje mi się, że egzamin z patriotyzmu zdaliśmy z nienajgorszym wynikiem.

Spotkania z powstańcami na uczelni stały się tradycją. Odbывают się od prawie 20 lat. – Uznanie dla powstańców ze strony UW wydaje mi się czymś ważnym, bo Uniwersytet zawsze był ośrodkiem niepokornym, ceniącym sobie pomysły i swobodę działania – mówił prof. Piotr Węgleński, rektor UW w latach 1999–2005.

NA ŚCIEŻCE KOPERNIKA

Słów używanych przez młodzież nie ma w słownikach, bo jej język jest dynamiczny. Ale na polonistycy już pracują nad internetowym zbiorem tekstów. Instytut Języka Polskiego z dwoma mazowieckimi ośrodkami otworzy laboratorium dla uczniów.

IJP UW ze Społecznym Towarzystwem Oświatowym i Fundacją Języka Polskiego tworzy Konsorcjum ds. Korpusu Języka Młodzieży. Konsorcjum to w czerwcu zostało nagrodzone w konkursie MNiSW „Ścieżki Kopernika”. Program ma otworzyć uczelniane laboratoria i biblioteki, zachęcić młodzież do przeprowadzania doświadczeń i obserwacji, zbierania danych, organizowania naukowych wystaw.

W czasie przedsięwzięcia *Laboratorium językowe – korpus języka młodzieży* zostanie stworzone laboratorium skupiające specjalistów od korpusów językowych – językoznawców i informatyków. Dla nauczycieli i uczniów gimnazjów oraz liceów odbędą się warsztaty, które pomogą w opracowaniu *Korpusu Języka Młodzieży* początku XXI wieku. – Będziemy budować korpus języka nieopisanego dokładnie w słownikach. Złożą się na niego teksty autentycznych rozmów młodzieży oraz jej twórczość szkolna, np. gazetki, strony www, i pozaszkolna, np. blogi – mówi prof. Marek Łaziński z IJP. – Dzięki aktualnemu materiałowi językowemu i zaawanso-

wanej wyszukiwarce uda nam się opisać język młodzieży w trakcie jego przemian, za którymi nie nadążają słowniki.

Dodatkowo powstanie internetowy słownik. – Planujemy też spotkania z badaczami zajmującymi się tzw. inżynierią językową – zapowiada dr Izabela Winiarska-Górska z IJP.

Badania potrwać do końca 2014 r. Razem z dr Winiarską-Górką czuwa nad nimi prof. Marek Łaziński, który opracował korpus polsko-rosyjski. – Będziemy potrzebować doktorantów do współpracy, interesujących się językoznawstwem komputerowym lub korpusami języka. Zastanawiam się nad otwarciem projektu dla doktorantów innych niż wyłącznie polonistyczni – mówi dr Winiarska-Górska, która już wcześniej pracowała ze studentami nad korpusami historycznymi, np. Ewangeliami.

W każdym województwie zostało wyróżnione jedno konsorcjum. W sumie MNiSW rozdało 3,2 mln zł. – Jestem przekonana, że „Ścieżki Kopernika” sprawią, że młodych ludzi zafascynowanych nauką będzie więcej. Otwierają one możliwości niekonwencjonalnego sposobu zdobywania wiedzy, rozwijania zainteresowań i talentów poza formalną edukacją – uważa prof. Barbara Kudrycka, minister nauki i szkolnictwa wyższego.

Informacje o przedsięwzięciu są dostępne na www.laboratoriumjezykowe.uw.edu.pl.

Pochodzi z Korei Południowej. Poliglotka to chyba najlepiej pasujące do niej określenie, bo mówi w ośmiu językach. Oprócz koreańskiego zna też rosyjski, czeski czy niemiecki, ale najlepiej czuje się w polskim. Sehee Jang to jedna z dwustu uczestników wakacyjnego kursu języka polskiego i kultury polskiej dla cudzoziemców, który w sierpniu odbywał się na Uniwersytecie.

Zajęcia trwały przez cały miesiąc. Od poniedziałku do piątku przez cztery godziny dziennie kursanci uczyli się mówić po polsku. W kursie wzięły udział osoby pochodzące m.in. z Iraku, Tajwanu, USA, Kenii, Arabii Saudyjskiej czy Wenezueli.

Której grupie szło najlepiej? Oprócz naszych wschodnich sąsiadów w polskim dobrze odnajdują się Japończycy. – Nie chodzi tu jednak o predyspozycje językowe, ale ich sumienność, rzetelność i pracowitość. To cechy, które są niezwykle ważne w nauce jakiegokolwiek języka – wyjaśnia Mirosław Jelonkiewicz, kierownik kursu i wicedyrektor Centrum Języka Polskiego i Kultury Polskiej dla cudzoziemców „Polonicum”.

Niektórzy zaczynają od podstaw. Jak radzą sobie po miesiącu nauki? – Uczestnik grupy początkującej umie już porozumieć się w najprostszycy sytuacjach komunikacyjnych. Może zrobić zakupy w sklepie spożywczym czy zarezerwować bilet w kinie. Umie się zaprezentować i powiedzieć lekarzowi, co mu dolega – zapewnia kierownik kursu. Inni, w grupach zaawansowanych szlifują wymowę, bo to właśnie z fonetyką jest najczęściej problemów. Najtrudniejsze słowa? Sehee ćwiczy dykcję na „szczotecze”.

Wakacyjny kurs „Polonicum” organizowany jest na Uniwersytecie już od prawie 60 lat. Hauke Fehlberg z Niemiec prowadzi bloga o Polsce w swoim ojczystym języku (www.polen-pl.eu). Nad portalem pracuje ok. 20 osób. Piszą o polityce, historii, kulturze, rolnictwie czy turystyce, ostatnio pojawił się tam wpis o popularności jednego z warszawskich nadwiślańskich klubów. Hauke przyznaje się, że przez wiele lat lepiej od swojego sąsiada znał Afrykę, gdzie przez jakiś czas pracował. Polskiego zaczął się uczyć dzięki temu, żeby dowiedzieć się o nas więcej. Brał już udział w różnych innych kursach. – One wszystkie mają podobne programy, ale ten organizowany przez „Polonicum” ma najciekawsze zajęcia kulturalne – uważa.

Organizatorzy starają się urozmaicać program, ponieważ niektórzy przyjeżdżają na kursy wielokrotnie. Z tego względu co roku zmieniana jest też choreografia poloneza, wybierane są inne filmy na wieczory audiowizualne, na warsztatach muzycznych wykonuje się inne piosenki, a podczas tych kulinarnych zmieniany jest jadłospis. Chętnych na zajęcia kulinarne nie brakowało. – Mieliliśmy nawet kilka reklamacji – żartuje kierownik kursu. – Bo oprócz wyrobu pierników, kursanci byli zainteresowani lepieniem pierogów – dodaje. Pierogi też były, ale rok temu. Uczestnicy gotowali też wspólnie barszcz.

Tradycyjnie poloneza tańczy się na rozpoczęcie, ale uczestnicy kursu pokaz dali dopiero na jego zakończenie. Przez ostatni tydzień wspólnej nauki po kilka godzin dziennie ćwiczyli kółka, kółeczka, przejścia i tunele, by 30 sierpnia na dziedzińcu przed Pałacem Kazimierzowskim kroczyć w rytm muzyki Wojciecha Kilara.

Świat nauk ścisłych jest fascynujący, a szczególnie wartościowe jest odkrycie tego w jak najmłodszy wieku.

Wydział Chemii Uniwersytetu Warszawskiego we współpracy z fundacją Przyszłość w nauce już od 2011 roku daje niezwykłą szansę uczniom gimnazjum i liceum na odbycie indywidualnych zajęć – pod opieką pracowników naukowych – w jednych z najlepiej wyposażonych ośrodków badawczych w Polsce. W ślad za Wydziałem Chemii poszły kolejne. Ostatnio były to Wydział Fizyki UW, a także Wydział Nowych Technologii i Chemii WAT. Zajęcia trwają pięć dni i obejmują co najmniej 20 godzin pracy laboratoryjnej. Do tej pory dotyczyły różnych zagadnień np. technologii chemicznej, chemii jądrowej, syntezy orga-

nicznej, krystalografii, oddziaływań molekularnych.

– To bardzo cenne, że pełni pasji uczniowie mogą w tak młodym wieku posmakować prawdziwej nauki, a przez to później dokonywać świadomych wyborów edukacyjnych. Ogromnie mnie cieszy, że działalność naszej fundacji wspierana jest przez uczelnie – mówi Anna Goral, przewodnicząca rady wolontariuszy fundacji Przyszłość w nauce i doktorantka Kolegium MISMaP.

Szczegóły dotyczące działalności fundacji Przyszłość w nauce można znaleźć na stronie www.przyszloscwnauce.org.

Sześćdziesiąt lat to na tle historii Uniwersytetu może nie tak dużo, ale jednak cała epoka. Obchodząca w tym roku 60-lecie Szkoła Języków Obcych zmieniała się wraz z epoką, począwszy od samej nazwy; najpierw było to Studium Praktycznej Nauki Języków Obcych, później „minimalistyczne” Studium Języków Obcych, w latach osiemdziesiątych pojawił się akronim MONJO – Międzywydziałowy Ośrodek Nauczania Języków Obcych – i wreszcie, w 1991 roku, przyjęto nazwę obecną – prostą, bezpretensjonalną, mającą odpowiedniki w nazwach wielu zasłużonych instytucji szkolnictwa wyższego w różnych krajach.

Zmieniało się i lokum: pierwsze piętro w gmachu Polonistyki, „kątem” nad pocztą w Auditorium Maximum, Oboźna, Nowy Świat 69. I obecnie – oprócz drugiego piętra na Nowym Świecie – własny budynek na kampusie głównym, odziedziczony po anglistyce.

Zmieniały się podręczniki i style nauczania: od przaśnych, rozpadających się, „socjalistycznych” skryptów, poprzez solidne, treściwe *Eckersleye* czy *Candlinsy*, atrakcyjne tomiki z serii *Vers la France*, zideologizowane, acz rzetelne podręczniki radzieckie czy ernerdowskie; były też *Smólskie*, *Szcutniki*, *Hildy Andrews-Rusieckie* czy zaludnione pociesnymi stworkami *Ale-*

xandry; metoda gramatyczno-tłumaczeniowa, strukturalna czy przebój lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych: laboratoria językowe.

Teraz ton nadaje internet wraz z całym dobrodziejstwem inwentarza i teleinformatyczno-elektronicznym osprzętem. Zmienił się i styl nauczania, nastawiony na sprawną komunikację, przy jednoczesnym akcencie na język akademicki czy języki specjalistyczne. Wykładowca, lektor to obecnie bardziej przewodnik i „facylitator” niż niegdysiejszy „chodzący podręcznik”. Studenci podróżują, jeżdżą na unijne stypendia, przybywa słuchaczy-obcokrajowców (w tym m.in. z Japonii, Chin, Indii, Kazachstanu, Turkmenistanu, Arabii Saudyjskiej, Ameryki Południowej i większości krajów europejskich), zmienia się postrzeganie języków, coraz więcej jest ich w ofercie szkoły. Ponad stu zatrudnionych tu nauczycieli wspiera studentów w nauce i doskonaleniu języka angielskiego, francuskiego, niemieckiego, hiszpańskiego, włoskiego, rosyjskiego i od niedawna – szwedzkiego i niderlandzkiego. Szkoła jest największą jednostką prowadzącą lektoraty na UW w ramach Uniwersyteckiego Systemu Nauczania Języków Obcych. Co roku z lektoratów korzysta ponad 7 tysięcy studentów.

„Za walkę o demokrację i prawa człowieka bez użycia przemocy” – tak w 1991 roku Komitet Noblowski uzasadnił przyznanie pokojowej Nagrody Nobla Aung San Suu Kyi. Od tamtej chwili liderka birmańskiej opozycji wiele lat spędziła w areszcie domowym, głośno protestując przeciwko sytuacji w ojczyźnie i działając na rzecz pokojowych przemian. Od maja ubiegłego roku zasiada w birmańskim parlamencie, aktywnie uczestnicząc w demokra-

tycznych reformach wprowadzanych w jej kraju. O swej historii, przeszłości i przyszłości Birmy Aung San Suu Kyi opowiedziała 12 września na Uniwersytecie Warszawskim jako gość cyklu *Kapuściński Development Lectures*.

Więcej o wykładzie „Przemiany w Birmie: wnioski z przeszłości, wyzwania na przyszłość” będzie można przeczytać w kolejnym numerze naszego pisma.

WNIOSKI Z PRZESZŁOŚCI

Opracowanie:
redakcja.
Współpraca: Anna Goral,
Kolegium MiSMaP
i Krzysztof Zabłocki, Szkoła
Języków Obcych.

ABC STUDENTA I PRACOWNIKA

Na Krakowskim Przedmieściu często pojawiają się dziennikarze. Im bliżej okrągłej rocznicy powstania UW, tym większe prawdopodobieństwo, że będzie ich przybywać. Co będzie, jeśli któryś z nich poprosi o kilka słów o UW? Dbając o wizerunek studenta i pracownika, przedstawiamy elementarz o Uniwersytecie. Dla świeżaków i weteranów.

198. rok akademicki

20 wydziałów

50 tys. studentów,
czyli najwięcej w kraju

2,4% studentów z zagranicy, którzy są na studiach kończących się dyplomem – to największy odsetek cudzoziemców na polskiej uczelni

1,5 tysiąca stypendystów, m.in. programu Erasmus oraz Erasmus Mundus

20% studiujących w Warszawie wybiera Uniwersytet

50 tys. zgłoszeń od kandydatów na studia po I turze rejestracji

ponad **200** programów studiów

18 programów studiów po angielsku

2 tys. zajęć w języku angielskim

7 tys. pracowników

3 kampusy

120 budynków, w tym **6** akademików

PREZYDENT BRONISŁAW KOMOROWSKI NADAŁ TYTUŁ NAUKOWY PROFESORA:
prof. dr hab. **MONICE DĄBROWSKIEJ** z Wydziału Prawa i Administracji,
prof. dr hab. **JOANNIE GÓRNICKIEJ-KALINOWSKIEJ** z Wydziału Filozofii i Socjologii,
prof. dr hab. **MAŁGORZACIE GRZEGORZEWSKIEJ** z Wydziału Neofilologii,
prof. dr hab. **BARBARZE KAIM** z Wydziału Historycznego,
prof. dr hab. **AGNIESZCE KOZYRZE** z Wydziału Orientalistycznego,
prof. dr hab. **RYSZARDOWI MAZUROWSKIEMU** z Wydziału Historycznego,
prof. dr hab. **JANOWI MIERNOWSKIEMU** z Wydziału „Artes Liberales”,
prof. dr hab. **GRZEGORZOWI RYDLEWSKIEMU** z Wydziału Dziennikarstwa
i Nauk Politycznych.

Uroczystości odbyły się 17 i 26 czerwca.

SENAT UW NA POSIEDZENIU 19 CZERWCA POZYTYWNIIE ZAOPINIOWAŁ
WNIOSKI W SPRAWIE ZATRUDNIENIA:

**NA PODSTAWIE UMOWY O PRACĘ NA STANOWISKO PROFESORA NADZWYCZAJNEGO
NA UW NA CZAS OKREŚLONY**

dr hab. **NINY BARSZCZEWSKIEJ** z Wydziału Lingwistyki Stosowanej,
dr hab. **STEFANA DZIEMBOWSKIEGO**, dr hab. **PIOTRA POKAROWSKIEGO**
oraz dr hab. **DOMINIKA ŚLĘZAKA** z Wydziału Matematyki, Informatyki i Mechaniki,
dr hab. **ROMANA KRZYWEGO** z Wydziału Polonistyki,
dr hab. **KRZYSZTOFA MISIEWICZA** oraz dr hab. **ARKADIUSZA SOŁTYSIAKA**
z Wydziału Historycznego,
dr hab. **EWY SMOLSKIEJ** z Wydziału Geografii i Studiów Regionalnych,
dr hab. **JOLANTY SUJECKIEJ** z Wydziału „Artes Liberales”,

**NA PODSTAWIE UMOWY O PRACĘ NA STANOWISKO PROFESORA NADZWYCZAJNEGO
NA UW NA CZAS NIEOKREŚLONY**

dr hab. **AGNIESZKI KAŁAMAJSKIEJ**, dr hab. **KATARZYNY PIETRUSKIEJ-PAŁUBY**
oraz dr hab. **KRZYSZTOFA STENCLA** z Wydziału Matematyki, Informatyki i Mechaniki,
dr hab. **KATARZYNY PACHNIAK** z Wydziału Orientalistycznego,
dr hab. **KRZYSZTOFA WÓJTOWICZA** z Wydziału Filozofii i Socjologii,

**NA PODSTAWIE UMOWY O PRACĘ NA STANOWISKO PROFESORA ZWYCZAJNEGO
NA UW NA CZAS OKREŚLONY**

prof. dr hab. **EUGENIUSZA GÓRSKIEGO** z Wydziału Neofilologii,
prof. dr hab. **WIACZESŁAWA NOWIKOWA** z Wydziału Lingwistyki Stosowanej,

**NA PODSTAWIE MIANOWANIA NA STANOWISKO PROFESORA
NADZWYCZAJNEGO NA UW NA CZAS NIEOKREŚLONY**

prof. dr hab. **JERZEGO WASILEWSKIEGO** z Wydziału Historycznego,

**NA PODSTAWIE MIANOWANIA NA STANOWISKO PROFESORA
ZWYCZAJNEGO NA UW NA CZAS NIEOKREŚLONY**

prof. dr hab. **LUDMIŁY ŁUCEWICZ** z Wydziału Lingwistyki Stosowanej,

**NA PODSTAWIE UMOWY O PRACĘ NA CZAS OKREŚLONY
NA STANOWISKO PROFESORA WIZYTUJĄCEGO**

dr. **KRZYSZTOFA APTA** na Wydziale Matematyki, Informatyki i Mechaniki.

DO BIEGU, GOTOWI, KLIK!

OLGA BASIK

W lipcu, w hali hokejowej w Sankt Petersburgu 120 drużyn zmierzyło się w finałach Akademickich Mistrzostw Świata w Programowaniu Zespołowym. Informatycy z UW wywalczyli tam srebrny medal. Nasi reprezentanci biorą udział w konkursie już prawie od 20 lat. Nie zdarzyło się jeszcze, aby w tym czasie nie zakwalifikowali się do finałów. Jak to możliwe?

Mecz hokejowy trwa 60 minut. Ten, który 3 lipca stoczyli uniwersytecy programiści, trwał aż pięć godzin. Hokeiści mogą się zmieniać, bo na ławce mają jeszcze 14 rezerwowych. Informatycy siedzą w trójkę przy jednym komputerze. Różnica jest więcej. W hokeju nie mamy spektakularnych osiągnięć. Programiści z UW zajmują wysokie lokaty nie tylko w ICPC, ale także w wielu innych konkursach, takich jak Google Code Jam czy Facebook Hacker Cup.

SPORT INTELEKTUALNY

Sportowe porównania to nie przypadek. Podobnym wyzwaniem organizacyjnym, jak urządzenie finałów ICPC na lodowisku, było zorganizowanie ich rok temu na Wydziale Zarządzania UW. Zadanie nie było łatwe, bo na tamtejszej sali gimnastycznej, znajdowało się jedno gniazdko, a trzeba było podłączyć ponad sto komputerów i studio telewizyjne. Udało się. Nie tylko pod względem organizacyjnym. Nasi reprezentanci zajęli wtedy drugie miejsce. Wygrali Rosjanie. W tym roku miał być rewanż.

Marcin Andrychowicz, Maciej Klimek i Tomasz Kociumaka wrócili z Rosji ze srebrnym medalem, zajmując szóstą lokatę (pierwsze cztery zespoły zdobywają złoty medal, kolejne cztery srebrny, a następne brązowy). Drugi raz z rzędu zwyciężyli Rosjanie. – Mają w zespole geniusza i kiedy są w formie, nie ma na nich mocnych – przyznaje prof. Krzysztof Diks, trener uniwersyteckich programistów. Wygrać się więc nie udało, ale nasza drużyna w finale pokonała 112 zespołów, wyłonionych w eliminacjach regionalnych, w których łącznie wzięło udział 29479 studentów z 2322 uczelni z 91 krajów.

Żeby dojść do finałów, trzeba było przejść etap regionalny, a jeszcze wcześniej zakwalifikować się do zawodów krajowych. O to, kto weźmie w nich udział, zazwyczaj walczyło osiem drużyn. – To jest jak w sporcie: jak nie ma rywalizacji, to nie ma wyników – mówi prof. Tadeusz Tomaszewski, prorektor UW. – Można mieć do czegoś predyspozycje, np. do biegania na sto metrów. Jeśli ktoś jest w tym dobry i ustawi się na bieżni, to przebiegnie ten dystans w 11,5 sekundy. To wynik świetny, ale na medal olimpijski nie wystarczy. Żeby przebiec poniżej 10 sekund, trzeba wykonać tytaniczną pracę. Tak samo jest

z programowaniem. I naszym studentom to się udaje – dodaje prof. Diks.

Przygotowania trwały rok. Kilkugodzinne treningi odbywały się co najmniej dwa razy w tygodniu, do tego dochodziły wyjazdy szkoleniowe i udział w innych informatycznych konkursach. Przed lipcowym rozstrzygnięciem zawodnicy trenowali też w Spale. W dniu zawodów otrzymali do rozwiązania 11 zadań. – Zapisane są one w formie historyjek, ale tak naprawdę są to zagadki matematyczne. Jedno z nich wykonaliśmy jako pierwsi. I wtedy przez chwilę prowadziliśmy w rankingu. Mówiąc w dużym skrócie, polegało ono na regulowaniu ruchem w mieście w taki sposób, aby uniknąć zatorów – tłumaczy Marcin Andrychowicz.

Jeden problem rozwiązali w 15 minut od rozpoczęcia konkursu. – Zwykle człowiekowi kwadrans zajęłoby przeczytanie tych 11 historyjek, rozpisanych na kilkunastu kartkach po angielsku, a oni po tym kwadransie mieli już wykonane jedno zadanie – mówi prof. Jan Madey, który uniwersyteckimi drużynami opiekuje się od samego początku przygody z ICPC.

PRACA OD PODSTAW

Informatycy studiujący na UW to w większości olimpijczycy, którzy już w szkole średniej odnosili pierwsze programistyczne sukcesy. Później podczas nauki na UW kształcą się pod okiem profesorów i starszych kolegów, często doktorantów. – Te sukcesy to efekt olbrzymiej pracy samych studentów oraz merytorycznej pomocy starszych, doświadczonych kolegów z wydziału. Cała trójka to laureaci programu *Generacja przyszłości* MNiSW, wspierającego starty najzdolniejszych młodych Polaków w międzynarodowych konkursach naukowych – mówi prof. Diks.

Głównym sponsorem zespołów z UW jest PKO Bank Polski oraz Fundacja PKO Banku Polskiego, która ufundowała stypendia dla członków najlepszej polskiej ekipy startującej w finałach.

Drużyna z UW w finale pokonała 112 zespołów, wyłonionych w eliminacjach regionalnych, w których łącznie wzięło udział 29479 studentów z 2322 uczelni z 91 krajów

PRACOWNICY Z DWÓCH ŚWIATÓW

Pracodawcy szukają absolwentów z potencjałem, kulturą osobistą, potrafiących myśleć logicznie, niekoniecznie z umiejętnościami zawodowymi. Pracownik ma umieć sam poradzić sobie z zadaniem. Czy tacy są absolwenci UW?

Pracownia Ewaluacji Jakości Kształcenia UW przepytła pracodawców, czego oczekują od absolwentów szkół wyższych, a studentów i absolwentów, jak wyobrażają sobie pracę i jakie są ich pierwsze doświadczenia zawodowe.

Rozmowy są częścią trzyletniego badania „Monitorowanie losów absolwentów uczelni wyższych z wykorzystaniem danych administracyjnych Zakładu Ubezpieczeń Społecznych”. To pierwsze takie przedsięwzięcie w Europie. – II moduł to jednorazowe badanie jakościowe składające się z indywidualnych wywiadów pogłębionych i dyskusji grupowych – mówi dr Joanna Konieczna-Salamatin, która kierowała tą częścią przedsięwzięcia. – Sprawdzaliśmy, co studenci, absolwenci i pracodawcy myślą o studiowaniu w kontekście rynku pracy.

ZA RENOMĄ ABSOLWENTA STOI RENOMA UCZELNI

Wnioski? Mówiąc o rynku pracy, studenci, absolwenci i pracodawcy posługują się różnym językiem. Dla studentów i absolwentów najważniejsze są zainteresowania, dla pracodawców – postawy i kompetencje. Absolwent uczelni to dla zatrudniającego osoba z tytułem zawodowym magistra.

Pracodawcy preferują osoby po Uniwersytecie Warszawskim, Politechnice Warszawskiej i Szkole Głównej Handlowej. Rodzaj odbytych studiów świadczy o potencjale kandydata. Wykształcenie jest ważne w firmach technicznych albo finansowo-ubezpieczeniowych. Osoby po kierunkach humanistycznych i społecznych są postrzegane jako szybko uczące się. Studia pozwalają poznać język i narzędzia pracy, ale pracodawcy nie oczekują, że Uniwersytet dostarczy im osoby „gotowe do pracy”.

STUDENT Z TALENTEM CZY Z PRZYPADKU?

Idealną sytuacją jest dostanie się na kierunek zgodny z zainteresowaniami i taką motywację do studiowania badani wskazali najczęściej. „Już w liceum wiedziałem, że chcę studiować dziennikarstwo. Były głosy w stylu: «Dziennikarstwo? Czy ty zwariowałeś? Nic się nie nauczysz i nie będziesz miał pracy». Ale ja wyznaję taki pogląd, że jeśli jest się w czymś naprawdę dobrym, to ktoś (...) to doceni, tylko trzeba być zdeterminowanym i konsekwentnie dążyć do celu” – mówił jeden z badanych.

Innym ważnym kryterium wyboru były szkolne przedmioty. Respondenci decydowali się na studia związane z tematem lekcji, z których mieli najlepsze oceny. Byli i tacy, którzy wyboru kierunku dokonują w ostatniej chwili. „Na maturze miałem bardzo dobre wyniki prawie ze wszystkiego. Trochę mnie to skonfundowało, bo miałem nadzieję, że decyzję o tym, co studiować, podejmę na zasadzie eliminacji. Tymczasem okazało się, że mogę dostać się praktycznie na wszystko” – przyznawał kolejny z respondentów.

Autorzy badania doszli do wniosku, że młodzi ludzie uzależniają decyzję o wyborze studiów od czynników zewnętrznych. Próbuje uciec od odpowiedzialności za ewentualną porażkę czy nietrafny wybór. To na ogół ich pierwsza samodzielna decyzja.

Studenci nie kierują się przy wyborze studiów przyszłym zatrudnieniem. Ten brak zainteresowania może wynikać z niechęci do układania planów lub takiej nieumiejętności (bo młodzi ludzie cenią spontaniczność). Z Warszawy lub jej okolic pochodzi większość studentów, a tu zawsze jakaś praca się znajdzie. Studentów ze stolicy przeważnie utrzymują rodzice, dlatego nie czują oni presji podjęcia szybko pracy. Silniejszy nacisk na podejmowanie tzw. konkretnych kierunków występuje częściej w rodzinach gorzej sytuowanych oraz w takich, w których rodzice nie mają wyższego wykształcenia.

Czy młodzież zbyt beztrzesko podchodzi do studiowania? – W wieku 18-19 lat młodzi ludzie powinni dowiadywać się, czego chcą i jakie mają talenty. Są otwarci. To jest ich zaletą – uważa dr Konieczna-Salamatin.

ZATRUDNIĘ PRACOWNIKA Z POMYSŁEM

Pracodawcy zwracają uwagę, czy kandydat im się przyda. Dla korporacji liczy się potencjał, a nie konkretna wiedza czy umiejętności. Mogą one zatrudniać osoby bez doświadczenia, bo stać ich na ich wyszkolenie. Mniejsi pracodawcy komercyjni szukają absolwentów z doświadczeniem zdobytym w pracy na umowach cywilnoprawnych, w kołach naukowych czy na stażach. Organizacje typu non profit angażują osoby umiejące współpracować i z kulturą osobistą, dla których studia są dopełnieniem umiejętności wyniesionych z domu.

po **10** zespołów wzięło udział w wywiadach grupowych wśród studentów i absolwentów

po **20** studentów i absolwentów odpowiadało w wywiadach indywidualnych

36 pracodawców przepytano PEJK w tym module badania

Osoby potrafiące wychodzić ze schematów myślowych pracodawcy widzą w absolwentach WMIM, ale i w humanistach, np. po kulturoznawstwie. – Studenci i absolwenci kierunków społecznych i humanistycznych mają inne oceny uczelni i inne oczekiwania wobec rynku pracy niż ci z nauk ścisłych i przyrodniczych – stwierdza dr Konieczna-Sałamatina. – Absolwenci kierunków ścisłych i przyrodniczych nie szukają pracy długo. Są postrzegani przez pracodawców jako eksperci, z którymi można rozmawiać na luzie, bez presji. Przeprowadziliśmy wywiad z pracownicą firmy informatycznej, która rekrutowała osoby do call center swojej firmy. Odniosła wrażenie, że osoby po studiach społecznych są gotowe pracować poniżej swoich kwalifikacji – przynajmniej formalnych.

Różne sytuacje absolwenta na rynku pracy są spowodowane cechami osobowościowymi i umiejętnościami interpersonalnymi (np. dyspozycyjność, lojalność, komunikatywność czy umiejętność negocjacji), kompetencjami (np. przygotowanie teoretyczne w danej dziedzinie, nastawienie na rozwiązywanie problemów, pomysłowość, znajomość języków obcych) oraz udziałem w stażach i praktykach (w szczególności u przyszłego pracodawcy).

Jeśli absolwent nie ma pomysłu na siebie, tak samo jest traktowany przez pracodawcę. W badaniu brał udział absolwent filologii ukraińskiej nieświadomy, że aby zostać tłumaczem, powinien znać jeszcze język rosyjski i specjalizować się w jakiejś dziedzinie.

Dr Konieczna-Sałamatina zdziwił brak finansowej motywacji u respondentów. Absolwenci wierzą w to, że praca po studiach zaspokoi ich potrzeby finansowe. Nie ujawniają chęci zdobycia wysokiego statusu materialnego. Autorzy badania upatrują przyczyny takiego zachowania w tabu kulturowym: w środowisku inteligentnym, do którego aspirują młodzi ludzie, nie wypada dążyć do zdobywania pieniędzy.

UNIwersytecie, załatw mi pracę

Studenci pozytywnie oceniają studia. – Wywiady potwierdziły satysfakcję młodych ludzi ze studiowania, której poziom badaliśmy we wcześniejszych ankietach ogólnouniwersyteckich – mówi dr Konieczna-Sałamatina.

Studenci i absolwenci chcieliby, aby UW pomagał im w pierwszych etapach kontaktu

Wypowiadali się przedstawiciele przedsiębiorstw wykorzystujących wysokie technologie, firm konsultingowych i sektora finansowego, handlu, administracji publicznej, mediów i sektora pozarządowego.

PEJK UW wygrała w kwietniu 2011 r. przetarg Instytutu Badań Edukacyjnych, działającego pod auspicjami Ministerstwa Edukacji Narodowej, na przeprowadzenie badań losów absolwentów.

Badanie składa się z etapów: analizy danych z Internetowej Rejestracji Kandydatów, Uniwersyteckiego Systemu Obsługi Studiów, systemu Zakładu Ubezpieczeń Społecznych; wywiadów ze studentami, absolwentami i pracodawcami; ankiet online wśród absolwentów. Na początku 2014 r. powstanie raport. Narzędzie badawcze opracowane przez PEJK UW zostanie udostępnione innym uczelniom.

■ Informacje o badaniu znajdują się na www.pejk.uw.edu.pl.

■ W kolejnym numerze „UW” będziemy pisać o wynikach ostatnich ankiet przeprowadzanych wśród studentów i doktorantów przez PEJK UW.

z rynkiem pracy. Praktyki odbyte w trakcie studiów pozwalają na przekonanie się o tym, co student chciałby robić w przyszłości, ale nie są traktowane przez studentów poważnie. Dopiero absolwenci doceniają ich rolę.

Studia na kierunkach matematycznych i przyrodniczych są bardziej absorbujące niż humanistyczne. Osoby na kierunkach ścisłych rzadko mają kontakt z rynkiem pracy na studiach, ale są przekonani o tym, że po ich skończeniu znajdą dobrą pracę.

Humanisci mogą sobie pozwolić na aktywność zawodową już na studiach. Jest ona niezbędna, jeśli myślą oni o zatrudnieniu zgodnym z wykształceniem po otrzymaniu dyplomu. Na drugim stopniu trudno znaleźć osobę, która nie pracuje.

SEKRETNE WYZNANIA NAUCZYCIELA AKADEMICKIEGO¹

Zasugerowano mi podjęcie próby określenia, kogo chcielibyśmy widzieć wśród absolwentów liceów, przychodzących na studia. Odpowiedź przychodzi mi bez trudności: chciałbym mieć przed sobą studentów inteligentnych, samodzielnych, chłonnych, umiejących pracować (a w tym umiejących szukać w internecie z sensem, nie zaś dla ściągania i gotowców). Chciałbym widzieć studentów przedsiębiorczych, twórczych, otwartych, ciekawych świata, czymś zainteresowanych, pasjonujących się różnymi sprawami (nie tylko grami komputerowymi!). Pragnąłbym przyjmować kandydatów gotowych zgłębiać sprawy z różnych dyscyplin humanistycznych, a nie tylko z dyscypliny

Prof. Klemens Szaniawski wyraził się kiedyś, że student powinien wstydzić się okazać głupim

wybranej. W wypadku historyków chciałbym studentów pragnących zwiększyć rozumienie przez siebie społeczeństwa, nie zaś tylko opłacać znajomość chronologicznej historii i schlebiać narodowi lub preferowanemu kierunkowi politycznemu. Takich, którzy, jeśli podejmują nawet drobne fakty w refleksji, czynią to w perspektywie szerszego problemu.

Mogę jeszcze długo wyliczać w ten sposób. Czy jednak takie zestawienie cech, które ja chciałbym widzieć u maturzystów, nie przypomina powiedzenia, że najlepiej być „młodym, zdrowym i bogatym”? Oczywiście tak. Nie mam żadnych wątpliwości jak daleko jesteśmy od realizacji zaproponowanych postulatów². Warto jednak tworzyć taki zbiór idealny choćby po to, by zmierzać w danym kierunku. W końcu do wszystkiego można starać się przybliżyć.

Chciałbym, żeby szkoła (i uczelnia!) w znacznie większym stopniu niż dziś działała jako instytucja formacyjna. Proszę zwrócić uwagę, że wśród oczekiwanych cech nie wymieniłem posiadania dużej liczby wiadomości nabytych w trakcie edukacji z poszczególnych dziedzin wiedzy. Sądząc z moich doświadczeń dydaktycznych z grupami dobieranymi przeciętnie, taki postulat byłby zresztą całkowicie nierealistyczny w odniesieniu do większości absolwentów. Współczesna cywilizacja bombardując młodzież masą informacji, znacznie większą niż było atakowane moje pokolenie, powoduje, że osoby poddane tej operacji puszczają wszystko mimo uszu, jak jednostajny szum ulicy. Żyją w przekonaniu, że

w potrzebie i tak sobie sprawdzą dowolne treści. Pozostaje tylko dziwić się, jak elementarnych wiadomości o świecie i w ogóle o rzeczywistości nie posiada dziś młodzież skądinąd po świecie jeżdżąca i dużo o nim słysząca.

* * *

Czy szkoła (i uczelnia!) może coś zrobić i jak miałaby to zrobić, by uczeń (student) stawał się inteligentny, przedsiębiorczy, twórczy, ciekawy życia itd.? Moim zdaniem tak. Nie miejsce tu, by wchodzić w dyskusję o relatywnej wadze cech wrodzonych i nabytych, ale przypadków wrodzonej tępoty jest szczęśliwie stosunkowo mało. W ogromnej liczbie wypadków młodzi ludzie reprezentują wymienione cechy, tylko trzeba je rozbudzić. Nieskromnie powiem, że miałem proporcjonalnie liczne sukcesy dydaktyczne. Ponieważ zbliżam się do końca mojej roli nauczyciela akademickiego, mogę zacząć publicznie rozważać, jak pracowałem ze studentami od pierwszego do piątego roku studiów, a w tym zdradzić swoje wybrane sekrety. Nie da się ukryć, że zarówno w moich działaniach, jak i w tej wypowiedzi, miałem i mam w pamięci własne doświadczenia uczniowskie oraz studenckie – prawdę mówiąc nie najlepsze, mimo dobrych stopni. Nie uzyskałem ani w szkole, ani na studiach tego, co chciałbym, żeby uzyskiwali moi studenci³. Wiem, że takie mówienie nie jest poprawne politycznie – bowiem wypada chwalić własną edukację i nauczycieli. Cóż ja jednak poradzę, że do dziś pamiętam jako koszmar wkuwanie opasłego podręcznika Maszkińskiego z historii starożytnej⁴, z której wszystko do dziś zapomniałem, zaś zachowuję dobrze w pamięci referaty i prace, jakich niestety podczas studiów przygotowywałem zbyt mało.

* * *

Zdradę sekretów zacznę od stwierdzenia, że jako nauczyciel akademicki dysponowałem najpewniej jakimś autorytetem zawodowym. Wiem, że brzmi to nieskromnie, ale nie zobowiązywałem się do skromności w autoanalizie. Taki autorytet nie musi płynąć z liczby opublikowanych książek, może równie dobrze płynąć z postawy osobistej, ale jest to czynnik konieczny. Student musi chcieć dobrze wypaść w oczach prowadzącego i to nie tylko dlatego, żeby uzyskać zaliczenie. Prof. Klemens Szaniawski wyraził się kiedyś, że student powinien wstydzić się okazać głupim.

Prof. dr hab. Marcin Kula jest pracownikiem Wydziału Historycznego, stale współpracuje z naszą redakcją.

Oczywiście taka obawa nie powinna go stresować, bowiem lepiej okazać niewiedzę niż fałszywie udawać wiedzę. Student powinien wszakże chcieć pokazać się w dobrym świetle. Student musi też widzieć, że prowadzący zajęcia sam chce pracować dla zrobienia czegoś – w nauce czy gdziekolwiek – a nie tylko dla zdobycia punktów i podniesienia liczby cytowań własnych prac. Zdajmy sobie sprawę, że jeżeli sami czynimy nawet z pracy naukowej mechanizm, służący w gruncie rzeczy dobru rozgrywaniu własnej sytuacji, a nie realizacji pasji i obowiązków zawodowych, to nie powinniśmy się potem dziwić rozgrywaniu także przez studentów różnych sytuacji z bez troską korzyścią dla siebie. Młodzież często zaskakująco trafnie wchodzi w rolę karykatury obserwowanego społeczeństwa ludzi dojrzałych.

Jako dalszy sekret zdradzę, że starałem się o bliski kontakt ze studentami. O to, by uwierzyli w moją dla nich życzliwość. Nie wiem, czy jestem dostatecznie życzliwy wobec bliźnich, ale wobec studentów naprawdę starałem się taki być. Było to szczególnie ważne w obecnych czasach, gdy młodzież doświadcza lub może antycypować doświadczenie zbędności⁵. Nie była to – podobnie jak inne moje zachowania – postawa jedynie instrumentalna. Zachowywałem się po prostu normalnie, ale wiedziałem, że ma to znaczenie również w realizacji celów zawodowych.

Dążąc do bliskości ze studentami, starałem pozwolić się poznać. Mówiłem serio, co myślałem. Unikając, rzecz jasna, wszelkiej propagandy politycznej, nie unikałem mówienia – jak

to między ludźmi – o różnych sprawach społecznych czy uczelnianych. Zresztą trudno by mi było ukrywać moje poglądy, skoro w kolejnych numerach uczelnianego czasopisma wciąż piszę o uczelni. Bliski kontakt uzyskiwałem czy to w rozmowie, czy w uśmiechu na korytarzu, czy pisząc maile do studentów w różnych sprawach, czy informując ich o różnych wydarzeniach zawodowych, o których domniemywałem, że mogą ich zainteresować. Robiłem sobie notatki o studentach, gdzie szczegółowość notowanych danych pewno ich dziwiła, gdy ją potem widzieli w wystawianych o nich opiniach. Choć, prawdę mówiąc, w życiu mam często trudności z rozpoznawaniem ludzi na ulicy i z pamięcią nazwisk, to studentów starałem się rozpoznawać i pamiętać – by wiedzieli, że są dla mnie konkretnymi, znanymi ludźmi, a nie tylko numerami indeksów. Oczywiście łatwiej mi to było robić w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie grupy są małe niż w Akademii Leona Koźmińskiego, gdzie też pracowałem swego czasu, a gdzie sale są najczęściej licznie wypełnione.

Starałem się oddziaływać na studentów raczej pochwałami niż naganami. W moim przekonaniu polskie szkolnictwo na wszystkich szczeblach za bardzo stara się o oddziaływanie bodźcami negatywnymi (choćby w postaci złego stopnia), a za mało bodźcami pozytywnymi. Bardziej stara się (mniejsza czy skutecznie) eliminować złych uczniów (studentów) niż promować dobrych i zbliżać średnich do dobrych. Starałem się obudzić w studentach odwagę, wiarę, że mogą być twórczy, a nie jedynie odtwórczy – i to na



Mam na sumieniu także parę wypadków, gdy dmuchnąłem w żagle zbyt mocno w stosunku do możliwości młodych ludzi, a oni, co gorsza, mi uwierzyli. Wolę jednak taki błąd niż błąd przygaszania kogokolwiek

niskim poziomie. Pamiętam jak pewien student, bardzo dobry, którego zachęciłem do napisania jakiegoś artykułu i pomogłem go opublikować, przyszedł do mnie z pytaniem, czy może zanieść do druku jeszcze drugi tekst. W tym momencie zrozumiałem, że on nie widzi, iż jest człowiekiem z możliwościami, który powinien starać się uzyskać sukces, zaś prawo złożenia propozycji artykułu przysługuje mu tak jak wszystkim. Zdarzył mi się kiedyś student, którego ciągnąłem w górę, zaproponowałem mu druk pracy magisterskiej, zdawanie na doktoranturę... W jakimś momencie ten student nieśmiało powiedział coś w stylu: „Ale Panie Profesorze, ja nigdy nie byłem taki dobry”. W domyśle: niech pan się zastanowi, czy warto mnie popierać. Powiedziałem mu z grubsza: ale jest pan dobry. Dalsze lata potwierdziły słuszność mojej oceny. Wyciągnięcie w górę paru niewierzących we własne siły lub/i startujących z gorszych pozycji życiowych studentów uważam za swoją może i największą zasługę. Oczywiście w takiej ocenie mogłem się pomylić. Mam na sumieniu także parę wypadków, gdy dmuchnąłem w żagle zbyt mocno w stosunku do możliwości młodych ludzi, a oni, co gorsza, mi uwierzyli. Przedobrzyłem sprawę. Wolę jednak taki błąd niż błąd przygaszania kogokolwiek.

Starałem się, by studenci byli twórcy. Pokazywałem, że czegoś od nich na serio oczekuję. Od studenta można bardzo dużo uzyskać jeśli on czuje, że nauczycielowi zależy konkretnie na nim i jego pracy. Od początku studiów zadawałem im prace tylko częściowo ćwiczeniowe – często zaś mające cechy prac na serio. Takie prace, które wymagały osobistych działań w granicach możliwości. Takie, które wymagały obserwacji życia, intelektualnego komentarza do rzeczy tylko pozornie oczywistych. Ceniłem myślenie idące w kierunku innych – obok historii – dyscyplin humanistycznych. Niektóre z tych prac okazywały się zresztą bardzo ciekawe – do tego stopnia, że zdarzało mi się wykorzystywać je w moich studiach (zbyteczne dodawać, że z powołaniem się na autorów!).

Wszystkie prace zawsze starałem się zwracać z merytorycznymi komentarzami. Stworzyłem zresztą sytuację niewygodną dla siebie – bowiem brak komentarza, którego czasem nie mogłem jednak wykrzesać, pokazywał, że praca nie była dla mnie interesująca – a ja chciałem każdego zachęcać, by się starał. Innym typem niewygody była konieczność czytania wszystkich prac z tygodnia na tydzień – no, ale w takich wypadkach trzeba po prostu chcieć i trzeba poświęcić czas. Ostatnio zostałem jednak akurat za ten typ dawanych zadań w pewnym sensie wynagrodzony. Studentom I roku dawałem m.in. polecenie napisania przemówienia ze wskazanej okazji (każdemu innej)

w stylu przemówienia z czasów stalinowskich. Teraz, po paru latach, studenci na koniec prowadzenia przeze mnie seminarium wypisali mi wspaniały dyplom w stylu głębokiej PRL. Nawiasem mówiąc, styl był bardziej utrafony niż większość takich prac na pierwszym roku. Czegoś więc nauczyli się z historii najnowszej! Egzaminami robiłem pisemne, ale dobierając tematy pozwalające na twórcze podejście. Nie chciałem przedstawiania wykutej treści książki, ani nie ograniczałem się do testów. Było to, rzecz jasna, możliwe przy małych grupach na historii, a nie przy dużych grupach w ALK. Nadto wśród studentów historii wciąż dominuje przekonanie, że przyszło się na uczelnię studiować, a nie – w dobrym wypadku – by czegoś się nauczyć. Wbrew pozorom pomiędzy tymi dwoma słowami jest wielka różnica, zawierająca m.in. właśnie kwestię postawy twórczej. Z taką postawą testy się nie łączą – nawet jeśli nie odrzucam ich całkowicie jako narzędzia dydaktycznego dla sprawdzenia opanowania faktografii.

Popierałem każdą inicjatywę studencką, każde zgłoszenie się na dowolną sesję, starania o wyjazd zagraniczny. Uważałem, że inicjatywa jest wartością samoistną, bowiem sprzyja kształtowaniu człowieka kreatywnego. Zawsze mówiłem, że nie wiadomo, czy zamiar (np. publikację) uda się zrealizować, ale jeśli się sprawy nie podejmie, to nie uda się z pewnością.

Chcąc stworzyć studentom poczucie sensu ich własnej pracy twórczej, pchałem ich prace do druku. Bywałem za to krytykowany przez część Kolegów, którzy zwracali uwagę, że nieraz miały one słabości nieuniknione na tym etapie rozwoju naukowego. Mówiono, że opublikowanie w formie książeczki np. jakiejś pracy magisterskiej „psuje temat” przez jej niedoskonałość. No cóż, rzadko mi mówiono to w oczy. Gdy miałem jednak świadomość takich zarzutów, zawsze chciałem zapytać, czy zgłaszający zastrzeżenia są pewni, że ich badania były „definitywnie skończone”, zaś sami nie „popsuli” żadnego tematu. Poważnie mówiąc uważałem, że korzyści mojego działania w kierunku publikacji prac studenckich, zwłaszcza magisterskich, przeważają ewentualne słabości takiej inicjatywy. Chciałem rozbudzić studentów, chciałem, by uczyli się pracować, a nie miałem wątpliwości, że przy okazji uczyli się historii lepiej niż przez uczenie się w wąskim sensie tego słowa. Spotykałem się też z uwagami, że absolwenci, jacy do nas przychodzą, często nie są na poziomie dostatecznie wysokim, by studiować w sposób jakiego chciałbym. Obawiam się jednak, że stając na takim stanowisku, wchodzimy w zakłętę koło. Mamy zbyt mało ambitnych, więc zmniejszamy nasze ambicje wobec wszystkich, a zatem nie przychodzą do nas następni ambitni. Nadto, jeśli taka wątpliwość jest zasadna, to można postawić pytanie, czy może szkoła dałaby radę lepiej rozbudzać cechy przeze mnie pożądane. Zdaję sobie sprawę, że łatwiej to czynić przy relatywnie niedużych grupach studenckich,

przy relatywnie niedużej liczbie godzin dydaktycznych na tydzień, przy mimo wszystko lepszych zarobkach, niż gdy liczba uczniów i godzin jest większa, zaś zarobki nauczycieli szkolnych mniejsze. Jestem jednak przekonany, że szkoła może wiele nawet przy wszystkich dzisiejszych ułomnościach. W swoim czasie uczestniczyłem w jury dwóch konkursów dla młodzieży szkolnej: konkursu „Historia bliska” Ośrodka Karta oraz konkursu „Historia i kultura Żydów polskich” Fundacji Shalom. Nadsyłane tam prace były bardzo ciekawe, a niektóre wręcz wybitne, nawet użyteczne dla zawodowych historyków.

Takich studentów, o rozbudzonych zainteresowaniach oraz rozbudzonej inicjatywie chciałbym mieć na studiach. Miałem ten atut, że właśnie tacy często do mnie przychodzili. Więc jednak można coś zrobić dla polepszenia poziomu młodzieży – bo przecież sylwetka intelektualna ludzi uczestniczących w takich konkursach była w znaczącym stopniu zasługą ich nauczycieli. Najczęściej przecież to oni sprawili, że uczniowie chcieli pracować intelektualnie – i pracowali.

Sądzę, że nowy program nauczania historii idzie w dobrym kierunku. Zlikwidowanie wkuwania faktów na rzecz twórczej pracy nie uzasadnia oskarżeń, które padły 10 kwietnia 2013 r., że autorzy programu (czytaj: przeciwni mówcy obóz polityczny!) „polską historię z polskich szkół wyrzucają”. Nowy program pozwala zaś mieć nadzieję, że zamiast masy faktów do natychmiastowego zapomnienia pojawią się w głowach korzyści dla intelektualnego rozwoju uczniów i studentów – również takie, które zwiększają jej chęć zdobywania wiedzy.

¹ Wystąpienie na II Kongresie Polskiej Edukacji, w grupie tematycznej *Maturzysta idzie na studia* (Instytut Badań Edukacyjnych, Warszawa, 15-16 VI 2013). ² M. Kula, *Jęk nauczyciela akademickiego*, „Nowa Poliszczyna. Dwumiesięcznik dla nauczycieli języka polskiego”, 2008, nr 1, s. 10-11. W 2013 r. tekst został umieszczony na stronie www.PaktDlaSzkoły.pl. ³ M. Kula, *Najszczerze ze szczerych? Refleksje o wartości źródłowej tekstów prywatnych (na przykładzie własnych listów o własnej szkole)*, w: *Historyk wobec źródeł. Historiografia klasyczna i nowe propozycje metodologiczne*, red. J. Kolbuszewska, R. Stobiecki, PTH, Ibidem, Łódź 2010, s. 185-206. ⁴ N.A. (Nikolaj Aleksandrowiç) Maszkin (Maškin), *Historia starożytnego Rzymu*, KiW, Warszawa 1953. ⁵ Nawiązuję do: Stefan Czarnowski, *Ludzie zbudni w służbie przemocy*, w: tenże, *Dziela*, opr. N. Assorodobraj, S. Ossowski, PWN, Warszawa 1956, t. II, s. 186-193.



OD RYZYKA DO RUTYNY

WYZWANIA DLA KOLEGIUM MISH – PERSPEKTYWA STUDENCKA

RAFAŁ SMOLEŃ

W 2013 r. mija 20 lat od uruchomienia studiów w Kolegium MISH na Uniwersytecie Warszawskim, pierwszym tego typu ośrodku w Polsce. Jeszcze w 2000 r., w wywiadzie *Komandosi edukacji*, prof. Jerzy Axer nazywał MISH „oddziałem partyzanckim”. W 2013 r. nikt z nas nie czuje się partyzantem. Rozwiązania, które 10-20 lat temu miały charakter nowatorski, ryzykowny, poza-, a nawet antysystemowy, jakiś czas temu zostały wpisane w ramy sys-

temu – z pożytkiem dla systemu i z różnym skutkiem dla kolegium.

W 2011 r. powstał dziesiąty ośrodek MISH w Polsce, a sama formuła MISH upowszechnia się w Rosji i na Ukrainie. Jednocześnie wydaje się, że Kolegium MISH UW, zyskując komfort, jaki daje stabilizacja, uległo łatwej pokusie formalizmu i zaczęło tracić swój wyjątkowy charakter. Chciałbym wyróżnić cztery wyzwania – problemy kolegium, które stały się żywą troską



samych studentów. Są to: reforma indywidualnej opieki naukowej, reforma minimum programowych, włączanie studentów w prace badawcze, limity przyjęć na wydziałach.

Indywidualna opieka naukowa wymaga szybkiej i głębokiej reformy. Zbyt często zdarza się, że *tutoring* ma charakter fikcyjny – dość wspomnieć, że wielu tutorów określanych jest mianem „tutorów-widmo”, gdyż ich rola sprowadza się do podpisywania papierów niezbędnych do zaliczenia roku. Przede wszystkim tutor powinien uczestniczyć w tworzeniu indywidualnego programu kształcenia – a nie tylko planu zajęć – swojego studenta. Dlatego należy ograniczyć liczbę tutorów i wyłować tych, którzy rozumieją sens tej instytucji, a zarazem są przygotowani pod względem formalnym i dydaktycznym (w tym celu w kolegium powstanie lista tutorów rekomendowanych). Jednocześnie trzeba podjąć konkretne kroki prawne, aby tutor mógł wliczać pracę z podopiecznym do swojego pensum dydaktycznego. Pisała o tym zresztą Katarzyna Łukaszewska w wakacyjnym numerze „UW”, omawiając wnioski z prac zespołu rektorskiego ds. rozwoju studiów międzyobszarowych. I choć trudno się z przedstawionymi przez zespół wnioskami nie zgodzić, można do nich parę pomysłów dorzucić.

Jednym z nich jest zaangażowanie w *tutoring* dla MISH przedstawicieli innych nauk niż społeczne i humanistyczne, a także studentów lat starszych i doktorantów. Tzw. **młody tutor** mógłby wspierać studenta w sprawach praktycznych związanych ze studiami, a także – choć w mniejszym pewnie stopniu – w sprawach naukowych. Przedstawiona propozycja nawiązuje do anglosaskich modeli *academic coaching* oraz *student-to-student-tutoring* i może wzbogacić tradycyjną relację mistrz-uczeń, nieraz wyobcowaną z bieżących problemów życia studenckiego.

Z reformą *tutoringu* w sposób nierozdzielny wiąże się **reforma minimum programowych** (minimum to zbiór przedmiotów, które każdy „mishowiec” musi zaliczyć, aby otrzymać dyplom na danym kierunku). Obecnie większość minimum stanowi sztywny zestaw zajęć, który nie uwzględnia osobistych potrzeb i predyspozycji studenta. MISH musi wrócić do swoich korzeni, dlatego powinniśmy wprowadzić nowy, zindywidualizowany model minimum – model, który pozwala na wybór części przedmiotów

w ramach szerokiej puli, a zarazem opiera się na efektach kształcenia, tj. doborze ekwiwalentów dla zajęć z minimum na innym kierunku, wydziale, a nawet uczelni, niezmiennie w porozumieniu z tutorem. *Last but not least*, wiele minimum – z racji swojej objętości – przypomina raczej maksima, co dla studentów MISH, którzy realizują dwa kierunki dyplomowe i zajęcia dodatkowe, pozostaje dużym problemem.

MISH – podobnie jak MISMaP – stanowi dobro wspólne i wizytówkę całego Uniwersytetu. Tym bardziej zdumiewa fakt, że po 20 latach od powstania MISH wciąż istnieją jednostki, które **nie wpuszczają nas na zajęcia**. Najgorzej sytuacja przedstawia się na Wydziale Prawa i Administracji, który narzucił absurdalny limit 15 miejsc na rok dla tych „mishowców”, którzy chcą otrzymać tzw. rekomendację – swoisty glejt uprawniający do obrony dyplomu – mimo że kandydatów jest dwa razy więcej! Limit dla „mishowców” to poważny problem dla kolegium, a zarazem minimalny problem dla wydziału: wystarczy zestawić 15 studentów MISH bez rekomendacji oraz ok. 400 studentów prawa na każdym roku studiów stacjonarnych. Warto dodać, że coraz więcej studentów MISH zasila kadrę dydaktyczną poszczególnych jednostek i zdobywa prestiżowe granty, a część kosztów pośrednich z ich realizacji trafia do kasy tych jednostek (nie mówiąc już o tym, że kolegium pokrywa koszty udziału swoich studentów w zajęciach na innych wydziałach).

Niestety, istnieją tacy studenci MISH, dla których formuła MISH w niewielkim stopniu różni się od tzw. studiów równoległych. W wielu przypadkach jest to zresztą podejście uzasadnione: student, który realizuje dwa sztywne, rozbuchane minima pod pozorną opieką *tutora*, będzie traktował MISH jak biuro, które wymaga od niego kolejnych zgód, podań i rekomendacji. I będzie miał w tym trochę racji. Co prawda nie są to przypadki częste, jednak zadaniem nas wszystkich jest głęboka odnowa Kolegium MISH i redefinicja jego miejsca na uczelni. Przy czym nie chodzi o to, aby zamknąć się we własnym wspaniałym świecie, wręcz przeciwnie: musimy upowszechniać tę formę kształcenia, którą ucieleśniają MISH i MISMaP, w innych miejscach Uniwersytetu. Od czego zacząć? Na pierwszy ogień proponuję indywidualną opiekę naukową. Przykład filozofii, bioetyki i kognitywistyki, które uruchomiły swój system *tutoringu*, napawa nas optymizmem.

Rafał Smoleń jest przewodniczącym Zarządu Samorządu Studentów Kolegium MISH UW, studiuje afrykanistykę i stosunki międzynarodowe.

KONTROLA LOTÓW

ZABELA WOŁCZASKA

Ubieganie się o odszkodowania za hałas przez osoby mieszkające w pobliżu lotniska czy zanieczyszczanie środowiska spalinami z samolotów to tematy, którymi niedawno żyły media. Jak rozwiązać te problemy? Szukaniem odpowiedzi zajęli się członkowie zespołu badawczego, działającego od roku 2010 do 2013, w Centrum Studiów Antymonopolowych i Regulacyjnych UW (CARS), którzy analizowali usługi portów lotniczych w Unii Europejskiej.

PRACA NA ZLECENIE

Takie zadanie centrum otrzymało od Przedsiębiorstwa Państwowego „Porty Lotnicze” (PPL), zajmującego się budową i użytkowaniem lotnisk oraz świadczeniem usług, z których korzystają pasażerowie i linie lotnicze. Do projektu przystąpili zarówno naukowcy z UW, jak i pracownicy PPL-u. 13-osobową grupą badawczą kierował prof. Tadeusz Skoczny, kierownik centrum. Wcześniej pracownicy CARS opracowywali m.in. ekspertyzy dla Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów, Telekomunikacji Polskiej S.A. i Urzędu Transportu Kolejowego.

WIEDZA I PRAKTYKA

Zarząd PPL-u chciał sprawdzić, czy przedsiębiorstwo działa zgodnie z prawem polskim i unijnym oraz określić, jak wygląda działalność lotniska Chopina w Warszawie na tle europejskich portów lotniczych. – Naszym zadaniem było znalezienie, zebranie i przeanalizowanie przepisów, które dotyczą działalności PPL-u lub regulują świadczenia usług portów lotniczych, a następnie wskazanie przedsiębiorstwu, co trzeba zmienić – wyjaśnia prof. Tadeusz Skoczny. Prawnicy badali zagadnienia, które mają wpływ na poziom usług oferowanych przez porty lotnicze, regulowane przez prawo antymonopolowe, m.in. zakazujące porozumień ograniczających konkurencję czy nadużywania pozycji dominującej, oraz przez prawo sektorowej regulacji lotniczej, określające m.in. zasady podziału ruchu lotniczego między porty lotnicze, ustalania opłat lotniskowych, przydziału i koordynacji startów i lądowań oraz ochrony środowiska. Ekonomiści i specjaliści od zarządzania w WZ UW zajęli się relacjami między własnością portów a ich zarządzaniem oraz efektywnością funkcjonowania lotnisk w Warszawie, Budapeszcie, Pradze, Kopenhadze, Zurychu oraz Wiedniu. A pracownicy PPL-u dzielili się z naukowcami wiedzą i doświad-

zeniem zawodowym. Byli odpowiedzialni za sprawdzenie praktycznej strony funkcjonowania lotniska Chopina, analizowali zagadnienia dotyczące urzędów kontrolnych, np. skanerów czy wykrywaczy śladowych materiałów wybuchowych. Wszyscy uczestnicy projektu opracowali raporty z przydzielonych im zadań. Pomogło to porównać funkcjonowanie lotniska Chopina z działalnością portów lotniczych w innych krajach Unii Europejskiej.

(POZA)LOTNICZE PANACEUM

Do jakich wniosków doszedł zespół prof. Tadeusza Skoczego? Co PPL powinien zmienić, by mógł sprawniej zarządzać portami lotniczymi i gwarantować wyższe usługi? – Ustaliliśmy, że przedsiębiorstwo nie ma wyraźnej strategii, np. właściciel lotniska w Budapeszcie stawia na rozwój ruchu cargo i wzmacnianie siatki połączeń pasażerskich, Czesi zaś połączyli działalność operatora praskiego lotniska z linią lotniczą. A to, co mogłoby wpłynąć na wzrost przychodów lotniska warszawskiego, to działalność pozalotnicza, bazująca na prowadzeniu hoteli, galerii handlowych czy parkingów – mówi dr Tomasz Ludwicki z WZ UW. – A bliskość centrum miasta oraz dobre z nim skomunikowanie zapewnia ogromną atrakcyjność terenów znajdujących się w pobliżu lotniska. Inwestycja w budowę miasteczka lotniczego (airport city) dziś jest już nie tylko modą, ale i koniecznością – dodaje Filip Czernicki z PPL-u. Natomiast badania dotyczące kontroli osobistej potwierdziły, że nie ma pewności, czy w Europie będą mogły być stosowane skanery bezpieczeństwa. Jeśli miałyby tak być, to zarządzający lotniskami muszą dołożyć wszelkich starań, by pasażerowie podczas takiej kontroli czuli się komfortowo. Stwierdzono też, że przepisy nie nakazują zdejmowania tych części garderoby, które są dla osoby kontrolowanej symbolem religijnym, np. turbanu. Analizy z zakresu ochrony środowiska pokazały, że hałas lotniczy jest czynnikiem, który ogranicza rozwój lotnisk, a polskie regulacje prawne nie przyczyniły się do zminimalizowania uciążliwości hałasu. Dlatego coraz silniej zarysowuje się konflikt społeczności lokalnych z lotniskami. Rozwiązaniem tej sytuacji mógłby być skuteczny monitoring środowiskowy i wypłacanie odszkodowań tym, których nieruchomości tracą na wartości.

■ Wyniki wszystkich badań, szczegółowe raporty i zalecenia zostały opublikowane w trzech monografiach, z którymi można się zapoznać na stronie www.cars.wz.uw.edu.pl.

OBSERWACJA I EKSPERYMENT

Październik 2002 roku. Daniel Kahneman i Vernon L. Smith otrzymują Nagrodę Nobla za przeprowadzenie i opisanie eksperymentów z pogranicza psychologii i nauk ekonomicznych. U źródeł ich badań – pytanie o racjonalność decyzji finansowych. *Homo oeconomicus*, dotychczas niezłomny, kierujący się *ratio*, własnym interesem i maksymalizacją zysków, pokazuje drugie, bardziej ludzkie oblicze. Emocje, kontekst, doświadczenia wkraczają oficjalnie do zbioru elementów opisujących jego wybory. Od tego czasu ekonomia eksperymentalna nabiera rozprędu także w Polsce.

– Ekonomia ochrony środowiska, sfery publicznej i właśnie ekonomia eksperymentalna to etykiety sukcesu Wydziału Nauk Ekonomicznych UW – podkreśla profesor Jan Jakub Michałek, dziekan wydziału. – Laboratorium Ekonomii Eksperymentalnej, które powstało kilka lat temu, to przykład jednej z najbardziej innowacyjnych inicjatyw w zakresie nauk ekonomicznych w Polsce. Wspieranie badań w tym zakresie wymaga dużej otwartości wobec nowej tematyki, narzędzi i możliwości.

EKONOMIA ZHUMANIZOWANA

Badania eksperymentalne w naukach ekonomicznych powstały wbrew przekonaniu, że ekonomia opierać się musi jedynie na obserwacji. Eksperymenty mają na celu nie tyle obalenie, ile weryfikację przyjmowanych *a priori* założeń i aksjomatów, a tym samym poszerzenie *spectrum* możliwości teoretycznych i praktycznych. Ekonomia staje się w ten sposób bardziej zhumanizowana, zauważając człowieka w poszerzonej perspektywie; skuteczniejsza, trafniej prognozując przyszłość dzięki eksperymentom w sztucznym środowisku, bliższa; czyniąc dydaktykę interaktywną.

– Eksperyment ekonomiczny pozwala „wizualizować” abstrakcyjny model teoretyczny i pokazać, w jakich sytuacjach realizuje się zgodnie z oczekiwaniami, a kiedy wbrew nim – mówi dr Tomasz Kopczewski, kierownik LEE WNE, badający świadomość ekonomiczną Polaków oraz racjonalność decyzji finansowych, – Każdy ekonomista powinien przynajmniej raz w życiu być uczestnikiem eksperymentu, aby przekonać się, że abstrakcyjne modele ekonomii teoretycznej działają. Eksperyment może być nie tylko

dobrym wstępem do prezentowanych teorii, lecz także ich najlepszym, bowiem angażującym osobiście, uwiarygodnieniem. Rozwijając to podejście, student może sam przejąć rolę eksperymentatora i bezpośrednio doświadczyć emocji związanych zarówno z pracą naukową, stawianiem hipotez badawczych oraz ich weryfikacją, jak i zawodową.

AKCJONARIUSZ I PRACODAWCA

W roku 2012 jako efekt pracy zespołu LEE WNE wydano pierwszy w Polsce podręcznik ekonomii eksperymentalnej. Pod redakcją doktora Michała Krawczyka powstał nie tylko przewodnik po historii badań sięgających nawet XVIII wieku, lecz także zbiór inspiracji dla studentów, dydaktyków oraz przedsiębiorców. Na szczególną uwagę zasługuje opis gotowych narzędzi, które stosować można zarówno w badaniach, jak i w dydaktyce. Jednym z nich jest przygotowany przez LEE WNE autorski program komputerowy, przeznaczony do tworzenia eksperymentów, gier decyzyjnych oraz symulacji. Rozwój technologiczny wpłynął zatem w znaczący sposób na rozwój eksperymentu w ekonomii. Dzięki LabSEE XP możliwe stają się szybkie i łatwe urozmaicenie zajęć przy jednoczesnym zaangażowaniu studentów w tworzenie ilustracji mechanizmów gospodarczych. Student na chwilę staje się dyspozytorem dóbr publicznych (gra PublicGoods), akcjonariuszem (gra Auctions) czy pracodawcą (gra PryncipalAgent). W zależności od gry, świadomie lub nie manipuluje warunkami rynku, w sposób głębszy rozumiejąc zachodzące procesy.

Program LabSEE oraz doświadczenia ekonomii eksperymentalnej mogą stać się inspiracją dla uniwersyteckiego e-learningu prowadzonego od kilku lat na platformie Moodle. Po pierwsze uzmysławiają, że nie wystarcza przekopiowanie tradycyjnej formuły zajęć do wersji internetowej, okraszenie jej obrazkami, dokumentami, filmami, testami i forum. W celu uzyskania najlepszego efektu z możliwych i jednocześnie wykorzystania potencjału technologicznego zagadnienia należy „przetłumaczyć” na język interaktywności, zaangażować studenta w działanie, jednocześnie uzmysławiając teoretyczne źródła zadania i wyposażając go w praktyczne umiejętności. Gra zdaje się w tym wypadku roz-

Anita Pieńkowska
pracuje w biurze
rekrutacji
i promocji
Wydziału Nauk
Ekonomicznych.

Każdy ekonomista powinien przynajmniej raz w życiu być uczestnikiem eksperymentu, aby przekonać się, że abstrakcyjne modele ekonomii teoretycznej działają.

wiązaniem optymalnym. Co więcej, dydaktyka może zostać w ten sposób bezpośrednio sprzężona z badaniami empirycznymi prowadzonymi przez naukowca, umożliwiając mu łatwy dostęp do grupy badanych, którzy, co warto podkreślić, posiadają dodatkową zachętę do uczestnictwa w postaci punktów ECTS.

ŹRÓDŁO INSPIRACJI I FRUSTRACJI

Ekonomia eksperymentalna służy – obok dydaktyki i badań naukowych – także kontaktom z rynkiem, na co w ostatnich miesiącach kładzie się w polityce finansowania nauki szczególnie nacisk. Nie chodzi tu jedynie o skuteczniejszych i bardziej efektywnych przyszłych pracowników posiadających lepiej – bowiem zarówno świadomie, jak i intuicyjnie – przyswojoną wiedzę i umiejętności. Rzeczą dotyczy szerszych możliwości prognostycznych zarówno w skali mikro, jak i makro, pozwalających unikać strat i sprawniej zarządzać ryzykiem.

Marzeniem człowieka od dawien dawna jest ekspansja, zapanowanie nad chaosem w imię porządku. Podobnie z nieprzewidywalnością gospodarki. Dla ekonomisty jest to wyzwanie, z którym walczy niczym projektujący tamę inżynier, to źródło zarówno inspiracji, jak i frustracji. Świat gospodarek krajowych, korporacji, małych i dużych przedsiębiorstw to materia niezwykle delikatna, wymagająca przemyślnych decyzji i kręgosłupa etycznego. Decyzji, które okazują się trafniejsze po uprzednich eksperymentach przeprowadzonych w sztucznych warunkach. Obecnie, wśród najczęściej badanych w ramach ekonomii eksperymentalnej zagadnień są te: z zakresu zachowań ludzkich – racjonalność jednostek i grup, rynku – popyt i podaż, symulowanie aukcji, przetargów, mechanizmy głosowania, negocjacje, spekulacje, arbitraż i inne. To, co najbardziej intryguje zarówno badaczy, jak i przedsiębiorców, to mechanizmy podejmowania decyzji w warunkach niepewności i ryzyka.

POWRÓT DO ŹRÓDEŁ

Za jeden z pierwszych eksperymentów w zakresie ekonomii niektórzy uznają, przeprowadzony przez Daniela Bernoulliego w 1738 roku, eksperyment nazwany później paradoksem petersburskim. Na podstawie refleksji nad uczestnictwem ludzi w grze losowej z wygraną pieniędzami, Berno-

ulli sformułował wniosek, że ludzie w warunkach niepewności zazwyczaj nie podejmują decyzji, kierując się chęcią maksymalizacji zysków. Niezwykle wielką pokusą staje się zatem dotarcie do wiedzy na temat mechanizmów rządzących decyzjami człowieka w sytuacjach stresu, szczególnie gdy te dotyczą nakładów pieniężnych.

Człowiek to istota nieustannie poszukująca skuteczniejszych narzędzi ujarznienia rzeczywistości – jak najmniejszym kosztem i z jak najlepszym skutkiem. Jednak jako byt niedoskonały, wielowymiarowy i realny *homo oeconomicus* nie zawsze podejmować będzie zgodne z tą ideą decyzje. Jego sytuacja wydaje się podobna do pozycji uniwersytetu wobec niżu demograficznego. Być może zatem powrót do źródeł – obserwacja i eksperyment razem wzięte – stanowiłyby skuteczny sposób na systematyczne docieranie do nowoczesności.

Wydział Nauk Ekonomicznych UW obchodzi w tym roku swoje 60-lecie.

- Zawsze skupiał nie tylko znakomitych teoretyków, lecz także praktyków życia gospodarczego związanych m.in. z Narodowym Bankiem Polskim, Ministerstwem Finansów, Ministerstwem Środowiska, Urzędem Statystycznym czy Światową Organizacją Handlu.
- W 2013 UW znalazł się na pierwszym miejscu, jako najprężniej działająca w Polsce jednostka badawcza, w rankingu RePEc – największej, dostępnej w internecie, niekomercyjnej bazy bibliograficznej dotyczącej ekonomii i finansów.

OPRACOWANIE:
redakcja.

WSPÓŁPRACA:
prof. Jerzy Nitychoruk,
Wydział Geologii UW.

WOWCZEWCE

ILUSTROWANA ENCYKLOPEDIA ŚWIATA WEDŁUG GŁUCHYCH

Naukowcy mogą pochwalić się największym na świecie korpusem języka migowego

Jeśli chcemy sprawdzić, jak często lub w jakim kontekście używa się w Polsce słowa „uniwersytet” wystarczy otworzyć stronę Narodowego Korpusu Języka Polskiego i skorzystać z wyszukiwarki – po chwili otrzymamy 23 tys. akapitów z książek i prasy zawierających interesujące nas słowo. Korpus, czyli zbiór rozmaitych tekstów pisanych, zebranych w formie elektronicznej, to jedno z podstawowych narzędzi pracy językoznawców, badaczy literatury czy kultury. Bez niego trudno też wyobrazić sobie pracę autorów słowników lub podręczników do nauki języków.

Jak jednak stworzyć korpus języka, którego nie można spisać, czyli polskiego języka migowego (PJM)? Taki zbiór musi mieć charakter wizualny, od strony technicznej jest więc znacznie trudniejszy do opracowania. Zadania tego podjęła się Pracownia Lingwistyki Migowej, działająca od 2010 roku na Wydziale Polonistyki UW. Dzięki grantom uzyskanym między innymi z Fundacji na rzecz Nauki Polskiej oraz Narodowego Centrum Nauki możliwe było stworzenie studia nagrań, zakup sprzętu i specjalistycznego oprogramowania. Po 3 latach pracy naukowcy mogą pochwalić się największym na świecie korpusem języka migowego. Do dziś udało im się zgromadzić 300 godzin nagrań z udziałem 80 Głuchych, na tej podstawie opisano 200 tys. znaków języka migowego. A prace wciąż trwają.

W każdym nagraniu, które trwa około 5 godzin, biorą udział dwie osoby Głuche oraz moderator – pracownik PLM, także będący osobą niesłyszącą. Tematy do rozmowy opracowują naukowcy. W nagraniach może wziąć udział każdy, wystarczy wypełnić formularz dostępny

na stronie internetowej pracowni lub przesłać maila, także w formie filmiku zamiganego w PJM. – Polski język migowy ewoluował przez wieki i nadal się rozwija. Jest jak żywy organizm. PJM starszych jest różny od PJM młodych. Istnieją odmiany stylowe, regionalne, jest slang – opowiada dr Paweł Rutkowski, kierownik pracowni. Dlatego badaczom zależy, aby do projektu zgłaszali się zarówno młodzi, jak i starsi, mieszkańcy różnych regionów oraz przedstawiciele rozmaitych środowisk. Na razie najmłodszy uczestnik był nastolatkiem, najstarszy przekroczył 80 lat. Nagrywane rozmowy, mimo że czuwa nad nimi moderator, mają całkowicie spontaniczny i swobodny przebieg. Konwersacje rejestrowane są przez 5 kamer, ważny jest każdy szczegół, gdyż w języku migowym nawet odległość rąk od ciała może mieć znaczenie gramatyczne.

Po zakończeniu nagrania do pracy przystępują językoznawcy – żmudnie opracowują każdy fragment, analizując go pod kątem właściwości gramatycznych i socjolingwistycznych. – Opisanie jednej minuty filmu trwa godzinami – wyjaśnia dr Rutkowski. – Musimy wyłuskać poszczególne znaki, przypisać je do poszczególnych kategorii – dodaje. Gotowy korpus będzie narzędziem do stworzenia pierwszej kompleksowej gramatyki polskiego języka migowego.

Bez udziału Głuchych przygotowanie korpusu PJM oraz inne projekty Pracowni Lingwistyki Migowej byłyby niemożliwe. – Nie chcieliśmy sytuacji, w której my, „mądrzy słyszący” opiszemy Głuchym ich język. Chcemy, żeby to sami Głusi nadawali ton tym badaniom. Warto podkreślić, że połowa zespołu PLM to właśnie głusi użytkownicy PJM – podkreśla dr Rutkowski.

NIEMOWLAKI NA STUDIACH?

UW otwiera właśnie żłobek (więcej na str. 4), ale maluchy na uczelni to nie nowość. Od roku na Wydziale Psychologii działa Babylab, czyli Pracownia Psychologii Niemowląt.

To jedyny tego typu zespół badawczy w kraju. Specjalizują się w neurokognitywistyce rozwojowej. Interesuje ich rozwój poznawczy dzieci, ale również emocjonalny i społeczny. Naukowcy

■ O badaniach Pracowni Lingwistyki Migowej przeczytać można w starszych wydaniach naszego pisma (nr 4/48, VII-VIII 2010; nr 3/58, VII-VIII 2012).

■ Więcej:
www.plm.uw.edu.pl

Gabriela Świtek

Gry Sztuki z architekturą

NOWOCZESNE POWINOWACTWA I WSPÓŁCZESNE INTEGRACJE

próbują dowiedzieć się, jak maluchy postrzegają świat, w jaki sposób się uczą i komunikują z otoczeniem, co im w tych działaniach pomaga, a co przeszkadza oraz jak radzą sobie z emocjami.

– Badania nad rozwojem mózgu u dzieci w pierwszych 12–24 miesiącach życia są coraz bardziej popularne i bardzo mocno zmieniły nasze rozumienie tego, co wiedzą o świecie niemowlaki – mówi dr Przemysław Tomalski, kierownik pracowni. Pierwszy rok życia to czas intensywnego rozwoju mózgu oraz jego największej plastyczności. – Badając sposób w jaki niemowlę postępuje się uwagą i dzieli ją z rodzicem, możemy przewidzieć m.in. jego rozwój językowy – dodaje Karolina Marczuk z Babylabu.

Z bezpłatnych badań mogą skorzystać mieszkańcy Warszawy. Podczas spotkania rodzice bawią się z dzieckiem. Psycholodzy bacznie tę zabawę obserwują i nagrywają, żeby móc później, klatka po klatce, przeanalizować ich zachowania. – Pozwala to np. dostrzec, jak aktywnym i zaangażowanym uczestnikiem interakcji jest niemowlę od pierwszych miesięcy życia – wyjaśniają pracownicy laboratorium.

Maluch ma też za zadanie obejrzeć kilka krótkich filmów. Nie są to jednak typowe produkcje. Podczas kilku minut projekcji pojawia się osoba lub przedmiot. Nie chodzi tutaj o rozumienie jakiegokolwiek fabuły, ale reakcje niemowlaka, bo specjalny monitor, *eye-tracker*, wyposażony w czujniki ruchu, pozwala precyzyjnie śledzić wzrok dziecka.

– Bardziej bezpośrednim sposobem podejrzenia procesów psychicznych u małego dziecka jest badanie związku między jego zachowaniem a aktywnością mózgu. W Babylabie wykorzystujemy do tego nowoczesny aparat EEG – mówi Karolina Marczuk. W ten sposób można np. przewidzieć rozwój językowy dzieci i ocenić ryzyko dysleksji.

Naukowcy przygotowują się również do badań tych niemowląt, których starsze rodzeństwo ma autyzm. U takich dzieci zaobserwowano zwiększone ryzyko choroby. – Możemy w ten sposób poszukiwać wczesnych wskaźników tych zaburzeń, tzw. predyktorów. Jeśli uda się je znaleźć, będziemy mogli wcześniej je wykryć, a w przyszłości im zapobiegać – tłumaczy.

■ Więcej: www.psychologia.pl/babylab

PROGNOZOWANIE WSTECZ

Czy upadek cywilizacji starożytnego Egiptu to efekt zmian klimatycznych? Czy zdarzenia ekstremalne, takie jak katastrofalne erupcje wulkaniczne, mogły spowodować kilkuletnie zmniejszenie ilości promieniowania słonecznego docierającego na powierzchnię Ziemi?

Uniwersytet Warszawski z Uniwersytetem w Kafr El Sheikh w Egipcie prowadzą badania nad klimatem starożytnego Egiptu. Zespół pod kierownictwem prof. Leszka Marksa z Wydziału Geologii UW wspierają też m.in. naukowcy z Francji i Chin oraz pracownicy Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej UW, którzy w Kairze mają stację badawczą. Naukowcy chcą odtworzyć zmiany klimatu w holocenie na podstawie badań rdzeni osadów



wydawca serii

Monografie FNP

Wydawnictwo Naukowe

Uniwersytetu Mikołaja Kopernika



www.fnp.org.pl

www.wydawnictwoumk.pl

■ Głównym wykonawcą projektu „Rekonstrukcja zmian klimatu w dorzeczu Nilu w holocenie i ich wpływ na rozwój cywilizacji starożytnego Egiptu” ze strony UW jest prof. Jerzy Nitychoruk z Wydziału Geologii

Czy zdarzenia ekstremalne, takie jak katastrofalne erupcje wulkaniczne, mogły spowodować kilkuletnie zmniejszenie ilości promieniowania słonecznego docierającego na powierzchnię Ziemi?

pobrane z jezior Mariut, El Brolus i El Manzija, położonych w północnej części delty Nilu oraz Jeziora Karun w Oazie Fajum.

4200 lat temu dla pierwszych cywilizacji nastąpiły złe czasy. W Egipcie władza faraonów radykalnie osłabła, a ludność nękał głód. W Mezopotamii rozpadło się państwo akadyjskie, a w dalekich Indiach upadła miejska cywilizacja doliny Indusu.

Naukowcy od dawna podejrzewali, że wszystkie te problemy wywołały drastyczne zmiany klimatu, z którymi nie mogły sobie poradzić oparte na rolnictwie wcześniejsze cywilizacje. By lepiej poznać wpływ klimatu w tym okresie, zespół pod kierunkiem polskich naukowców zamierza precyzyjnie odtworzyć warunki panujące wówczas w dorzeczu Nilu. Badacze powiążą je następnie z poszczególnymi fazami rozwoju cywilizacji starożytnego Egiptu, szczególnie w kontekście nagłych i katastrofalnych w skutkach zmian klimatycznych w środkowym i późnym holocenie.

Żeby pobrać próbki naukowcy będą musieli wwiercić się ok. 150 metrów pod ziemię. Zakładają, że przygotują cztery stanowiska, znajdujące się w linii brzegowej czterech jezior. Zespół obliczył, że pobiorą ok. 2700 próbek, które zostaną poddane kompleksowym analizom m.in. litologicznej, pyłkowej, makroszczątków roślinnych, fito- i zooplanktonu, malakologicznej oraz datowaniu metodami radiowęglą, OSL, AAR i ESR.

Dlaczego wiercą przy jeziorach? Osady jeziorne są bardzo dobrym i szczegółowym rejestrem zmian klimatu i środowiska. Wśród wytypowanych do badań jezior, trzy były początkowo jeziorami przybrzeżnymi delty Nilu, w których następowało stopniowe zmniejszanie wpływu środowiska morskiego. W osadach tych jezior mogły się więc zapisać zmiany zasilania przez wody Nilu podczas jego corocznych wylewów, a okresowo prawdopodobnie wpływu wód morskich. Czwarte jezioro, Karun, występuje w izolowanym obniżeniu terenu, gdzie wlewy rzeki docierały jedynie sporadycznie. Osady tego jeziora zawierają zapis regionalnych zmian klimatu.

Projekt finansowany jest przez Narodowe Centrum Nauki.

SZCZĘŚLIWA „13”

Interdyscyplinarne Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego UW po raz kolejny awansowało w rankingu instytutów badawczych Webometrics – z 23. na 13. miejsce w świecie oraz z 10. na 4. w Europie. Jeszcze kilka lat temu ICM plasował się w 5. dziesiątce zestawienia.

Ranking, przygotowywany przez hiszpańską Consejo Superior de Investigaciones Cientificas, aktualizowany jest dwa razy do roku, w styczniu oraz w lipcu. Jego autorzy oceniają 8 tys. instytucji z całego świata, pod kątem ich obecności w internecie. Biorą pod uwagę m.in. widoczność stron w wyszukiwarkach oraz liczbę publikacji

i cytowań pracowników w Google Scholar.

Pierwsze miejsce w rankingu zajmuje amerykański National Institutes of Health, zaś w Europie – CERN. Wśród polskich instytucji ICM wypada zdecydowanie najlepiej. Polska Akademia Nauk uplasowała się na 131. miejscu na świecie, zaś Państwowy Instytut Geologiczny – na 337.

Równoległe opracowywany jest także ranking najbardziej aktywnych w internecie uczelni. Uniwersytet Warszawski zajmuje 98. miejsce w Europie oraz 271. na świecie, wyprzedzając pozostałe polskie szkoły wyższe uwzględnione w zestawieniu.

MARYNARKA I KASZKIET, CZYLI NIEZBĘDNIK KIBICA

O tym, jak tworzyły się kluby piłkarskie i zasady gry w stolicy pisze dr Robert Gawkowski, historyk sportu z UW i stały współpracownik naszej redakcji w swojej najnowszej książce *Futbol dawnej Warszawy*.

Książkę wypełniają opisy z życia sportowego w wielokulturowej stolicy, anegdoty, cytaty z gazet i zdjęcia z początków XX w. Mało kto wie, że w latach 20. sędzia zamiast gwizdka używał chorągiewek. Od 1922 r. obowiązywał nakaz informowania na afiszach o rozgrywkach klubów okręgu warszawskiego, a czas meczu był mierzony według zegara na Dworcu Głównym. Szaliki i flagi w barwach klubowych oraz transparenty były kibicom nieznane. Woleli wymachiwać

swoimi marynarkami albo podrzucać kaszkiety.

W czasach, kiedy powstawało środowisko piłkarskie i regulaminy gry, zdarzali się zagubieni sprawozdawcy. Po meczu WKS – Cracovia 16 października 1910 r. nieznający zasad futbolu dziennikarz zapisał wynik jako 2 ½ zamiast 5:2. Po zobaczeniu nowo wybudowanego Stadionu Wojska Polskiego w 1930 r. dziennikarz pisma „Stadion” oznajmił: „Przez jakieś czarodziejskie okno wejrzałem do prawdziwej Europy”.

Futbol dawnej Warszawy przedstawia pierwsze mistrzostwa Warszawy i spotkania Polskiej Ligi, początki Polskiego Związku Piłki Nożnej i TOTO-lotka (zainicjowały go zakłady przed meczem Polonii z galicyjską Legią).

■ Książka ukazała się nakładem Wydawnictwa UW



- **Premier RP** nagroził w sierpniu dziewięcioro badaczy z UW. Za wybitny dorobek naukowy zostali docenieni **prof. Stefan Pokorski** z Wydziału Fizyki, który zajmuje się badaniem oddziaływań elementarnych oraz **prof. Michał Tymowski** z Wydziału Historycznego, znawca dziejów Afryki. Przyznano również nagrody za osiągnięcia, które przyczyniły się do uzyskania przez badaczy habilitacji. **Dr hab. Joannę Rączaszek-Leonardi** z Wydziału Psychologii nagrodzono za pracę *Zjednoczeni w mowie: względność językowa w ujęciu dynamicznym*, a **dr. hab. Łukasza Wyrzykowskiego** z Obserwatorium Astronomicznego za badania ciemnej materii za pomocą mikrosoczewkowania grawitacyjnego.

Za wyróżniające się rozprawy doktorskie uznano prace pięciorga młodych badaczy z UW. Na liście laureatów znaleźli się doktorzy: **Marek Cygan**, **Dobrochna Gorlińska-Sobusiak**, **Radosław Poleski**, **Piotr Wilkin** oraz **Anna Zawadzka-Kazimierzczuk**.

Nagrody premiera przyznawane są od 19 lat z inicjatywy Polskiej Akademii Nauk.

- Prawie 23 miliony zł trafią do 36 badaczy z UW wyróżnionych w konkursach: „Maestro”, „Harmonia”, „Etiuda” oraz „Fuga” **Narodowego Centrum Nauki**. Razem nagrodzono 243 naukowców z całego kraju. W konkursie „Maestro” skierowanym do doświadczonych naukowców zajmujących się pionierskimi, interdyscyplinarnymi badaniami – nagrodzono pięcioro profesorów z UW. Również pięć projektów prowadzonych w ramach współpracy międzynarodowej nagrodzono w konkursie „Harmonia”, a sfinansowanie stypendiów doktorskich to nagroda w konkursie „Etiuda”, która przypadła 13 młodym badaczom z UW.
- **Fundacja na rzecz Nauki Polskiej** ogłosiła wyniki XI edycji programu „Ventures”, wspierającego nowatorskie projekty, których autorami są młodzi naukowcy. Jednym z dziesięciorga laureatów został **Grzegorz Szczepaniak**, doktorant z Wydziału Chemii. Na badania dotyczące nowych metod oczyszczania produktów reakcji katalizowanych kompleksami metali przejściowych, otrzyma ponad 153 tys. zł dofinansowania. Natomiast w VII edycji programu „Homing Plus” fundacja wyłoniła 15 laureatów – doktorów, którzy co najmniej 9 miesięcy przebywali za granicą, a teraz będą kontynuować karierę w Polsce. Wśród nagrodzonych są **dr Tomasz Antosiewicz** z Centrum Nowych Technologii oraz **dr Marcin Dziubiński** z Wydziału Matematyki, Informatyki i Mechaniki. Na prowadzenie swoich projektów każdy z nich otrzyma ponad 200 tys. zł.

ODSAPNIJMY!

KATARZYNA
ŁUKASZEWSKA

– Liczba oraz tempo zmian, związane między innymi z nowelizacją ustawy o szkolnictwie wyższym, zmuszają nas do szerszego spojrzenia na organizację naszej uczelni. Powinniśmy sprawić, by jak najlepiej służyła ona realizacji wyznaczonych przez nas celów – tłumaczy prof. Marcin Pałys, rektor UW. – Różnorodność Uniwersytetu, wielość struktur organizacyjnych, decentralizacja i samodzielność wydziałów wymagają posiadania odpowiednio potężnych narzędzi do zbierania danych, analizy, projektowania i wprowadzania zmian organizacyjnych – dodaje. Takim „narzędziem” są zintegrowane systemy informatyczne. Stosuje się je zarówno w dużych firmach prywatnych, jak i instytucjach publicznych. Na Zachodzie także uniwersytety od dawna wykorzystują zalety platform typu Enterprise Resource Planning (ERP).

Proces wprowadzania w instytucji systemu zintegrowanego jest zawsze bardzo czasochłonny i przebiega na dwóch płaszczyznach. Po pierwsze konieczne jest skonfigurowanie informatycznego narzędzia. Drugim zadaniem – znacznie trudniejszym – jest przemyślenie wewnętrznej struktury, uporządkowanie i uproszczenie procedur, precyzyjne rozpisanie odpowiedzialności za podejmowane decyzje. To ogromne wyzwanie dla każdej instytucji, przynosi jednak wiele korzyści. – Wprowadzenie zintegrowanego systemu zarządzania oznacza przejrzystość oraz dostępność informacji, a także możliwość bardziej strategicznego myślenia o podejmowanych decyzjach – wymienia najważniejsze zalety prof. Anna Giza-Poleszczuk, prorektor UW ds. rozwoju i polityki finansowej. – Niezbędne dane są dostępne na jedno kliknięcie. Na zawsze

kończy to udruk sprawozdawania, wypełniania tabel, ręcznego przeszukiwania teczek, likwiduje wiele niepotrzebnej pracy – dodaje.

Na Uniwersytecie proces, o którym mowa wyżej, właśnie się zaczyna. W 2012 roku otrzymaliśmy blisko 6 mln zł z funduszy unijnych na wprowadzenie zintegrowanego systemu zarządzania. Takie narzędzie ma w swojej ofercie każda duża firma informatyczna, m.in. Oracle, Microsoft, Asseco czy Comarch. UW korzysta z systemu marki SAP, został on wybrany w wyniku przetargu. Z rozwiązań SAP korzysta 50 tys. organizacji na całym świecie, to łącznie 12 mln użytkowników. Wśród nich jest 850 instytucji badawczych lub edukacyjnych, m.in. Massachusetts Institute of Technology, Universiteit van Amsterdam, Freie Universität Berlin, a w Polsce – uniwersytety: Jagielloński, Śląski i Marii Curie-Skłodowskiej.

– Przyjęliśmy formułę polegającą na skorzystaniu z gotowego rozwiązania i dostosowaniu go do potrzeb UW – tłumaczy dr Robert Dąbrowski, zastępca kanclerza ds. informatycznych. – Najpierw zainstalowana zostanie platforma uwzględniająca ogólne założenia zintegrowanego modelu zarządzania UW. Kolejnym etapem będą poprawki, dzięki któremu system zostanie

dostosowany do naszych szczegółowych potrzeb – dodaje. Po wyborze firmy, która skonfiguruje platformę, prowadzone będą szkolenia. Obejmą one dwie grupy: pierwszą będą osoby zarządzające Uniwersytetem – władze uczelni, wydziałów, instytutów, samodzielnych jednostek, drugą – pracownicy administracji, dla których SAP ERP stanie się podstawowym narzędziem pracy.

SAP ERP oferuje wiele modułów tematycznych, pozwalających obsługiwać każdą sferę życia uczelni – kwestie kadrowe, finanse, badania, dydaktykę. Na UW korzysta będziemy na razie z dwóch modułów: zarządzania kadrami i placami oraz zarządzania finansami i majątkiem trwałym. Uczelnia chciałaby też wprowadzić moduł zarządzania grantami oraz zintegrować system z USOS-em. – Ten proces jest dla nas doskonałą okazją do wprowadzenia między innymi planowania i kontrolowania budżetów, do czego na razie nie jesteśmy na Uniwersytecie przyzwyczajeni. To początkowo dla wielu będzie trudne, ponieważ wydatki będą konfrontowane z planami – tłumaczy prof. Giza-Poleszczuk. – SAP to okazja do „ogarnięcia się” jako instytucja – podsumowuje pani rektor. Zakończenie pierwszego etapu prac planowane jest na rok 2015.

ZALETY NOWEGO SYSTEMU INFORMATYCZNEGO:

- zbudowany jest z różnych tematycznych aplikacji działających w oparciu o wspólną bazę danych; wystarczy, że jeden użytkownik wprowadzi informacje i natychmiast są one widoczne w całym systemie dla wszystkich,
- pomaga optymalnie wykorzystywać zasoby uczelni, porządkuje i zwiększa przejrzystość procesów wewnętrznych,
- poprawia przepływ informacji ważnych dla funkcjonowania uczelni,
- pozwala prowadzić analizy porównawcze, łączyć i syntetyzować dane, które w chwili obecnej są rozproszone w różnych bazach.

OSOBOM ZARZĄDZAJĄCYM UCZELNIĄ, WYDZIAŁAMI, INSTYTUTAMI, SAMODZIELNYMI JEDNOSTKAMI UMOŻLIWIA:

- planowanie i kontrolowanie budżetu,
- monitorowanie zatrudnienia w jednostce,
- zarządzanie grantami jednostki.

DLA PRACOWNIKÓW ADMINISTRACJI OZNACZA TO:

- brak konieczności wielokrotnego wprowadzania danych,
- łatwy dostęp do informacji niezbędnych do sprawozdań i statystyk wymaganych od uczelni,
- uproszczenie i skrócenie procedur.

■ O kolejnych etapach wprowadzania na naszej uczelni systemu SAP ERP informować będziemy w naszym piśmie. Wkrótce uruchomiona zostanie też strona poświęcona projektowi: www.odSAPnij.uw.edu.pl.

■ Zintegrowany system informatyczny to najważniejszy, ale nie jedyny element informatyzacji uczelni.

■ O innych nowoczesnych rozwiązaniach dostępnych dla pracowników i studentów Uniwersytetu przeczytać można na kolejnej stronie.

SIEĆ POŁĄCZEŃ

KATARZYNA MAJEWSKA

Czasem pamięć komputera jest za mała, żeby zmieścić wszystkie dokumenty elektroniczne i zdjęcia. Pracownicy UW mogą korzystać z SharePointa, który archiwizuje i klasyfikuje materiały. Takich elektronicznych pomocy dla społeczności UW jest więcej.

Społeczność Uniwersytetu potrzebuje edytować wspólnie dokumenty, gromadzić dane i kupować licencje programów komputerowych. To najpopularniejsze wymagania z dziedziny IT. – Punktem wyjścia do korzystania z uniwersyteckich narzędzi jest posiadanie tożsamości elektronicznej. Większość pracowników i studentów ją ma, bo korzysta z USOSweba albo portalu wewnętrznego – mówi dr Robert Dąbrowski, zastępca kanclerza UW ds. informatycznych.

WSPÓŁTWORZYĆ, DZIELIĆ, UDOSTĘPNIĄĆ

Jakiego systemu potrzebują do komunikacji studenci? – Większość wybiera narzędzia Google. Nasza uczelnia od ponad roku ma podpisaną umowę z tą firmą i korzysta z dedykowanego dla nas pakietu Google Apps for Education – opowiada dr Dąbrowski. – Dokumenty można współdzielić i edytować przez przeglądarkę internetową z dowolnego komputera, tabletu lub smartfonu. A gdy trzeba coś szybko przedyskutować, wystarczy zaprosić kolegów na wideokonferencję. Niczego nie trzeba instalować. W naszej domenie student.uw.edu.pl korzysta z tego już prawie 40 tys. osób.

Google dla UW

Kontem w domenie uniwersyteckiej (np. jan.iksin-ski@student.uw.edu.pl) zarządzamy na google.uw.edu.pl. Możemy logować się na pocztę Gmail i w zakładce Dysk tworzyć katalogi i umieszczać dokumenty. Z jednego dokumentu naraz może korzystać wielu użytkowników. Kursory pokazują ich aktywność. Można pracować z dokumentami, arkuszami, prezentacjami.

KOMU INTERNET, KOMU?

UW jest członkiem przedsięwzięcia eduroam, za pomocą którego społeczność akademicka rozwija wspólną sieć bezprzewodowego dostępu do internetu. Można się do niej podłączyć, przebywając w budynkach uczelni uczestniczących w programie, także zagranicą. – Konfigurację trzeba wykonać tylko raz. Potem w dowolnym ośrodku należącym do akcji dostęp do internetu włączy się automatycznie – mówi dr Dąbrowski.

Bezprzewodowy internet

Żeby się podłączyć bezprzewodowo do internetu, trzeba mieć urządzenie z Wi-Fi. Pracownicy i studenci wybierają sieć eduroam i podają login i hasło tak, jak opisano na eduroam.uw.edu.pl. Goście UW

korzystają z sieci uw-guestwifi. Dowolny pracownik uczelni może utworzyć gościowi tymczasowe konto na guestwifi.uw.edu.pl.

UNIWERSYTECKIE UPRAWNIENIA W DOMU

Pracownicy mogą przeglądać katalogi czasopism elektronicznych i zbiory biblioteczne, np. ACM Digital Library czy Springerlink. – Pełny dostęp do tych treści wymaga łączenia z komputerów należących do wewnętrznej sieci, czyli intranetu – mówi dr Dąbrowski.

Jest jednak sposób na przeglądanie zbiorów z prywatnego komputera. – Virtual Private Network to bezpieczny tunel w internecie, w którym mój komputer jest podłączony do sieci uniwersyteckiej. Ma ten sam adres co komputer w pracy. VPN to sieć wewnętrzna, ale nie fizyczna tylko wirtualna – tłumaczy dr Dąbrowski. – Po uruchomieniu VPN ruch z domu trafia na UW, a potem do internetu. Pracuję z domu, ale wirtualnie mój laptop stoi na biurku w pracy.

Wirtualna Sieć Prywatna, Virtual Private Network (VPN)

Aby uzyskać zdalny dostęp do niektórych zasobów sieciowych uczelni, np. SharePointa lub bibliotek elektronicznych, trzeba najpierw zalogować się na vpn.uw.edu.pl. Warto przetestować też inne możliwości narzędzia, np. organizację netmeetingów.

WIRTUALNY MAGAZYN DOKUMENTÓW

Wśród narzędzi do zadań biurowych znajdują się skrzynka e-mailowa (połączona z kalendarzem) i archiwum dokumentów. Na UW mamy zestaw Microsoft: serwer SharePoint pomagający w wymianie treści, przechowywaniu dokumentów i zdjęć oraz klasyfikowaniu ich; serwer komunikacyjny Exchange do e-mailowania i współdzielenia kalendarzy; pakiet Office na komputerach biurowych.

KARTKA Z KALENDARZA ALBO Z URLOPU

Są jeszcze narzędzia do tzw. samoobsługi pracowniczej. Można np. pobrać swój plan zajęć dydaktycznych z portalu wewnętrznego do kalendarza w telefonie komórkowym albo sprawdzić stan urlopów. Pracownicy sami mogą założyć gościom konta dostępu do naszej sieci bezprzewodowej.

Absencje

Usługa pozwala sprawdzić stanu urlopu po zalogowaniu się na stronie portal.uw.edu.pl i przejściu do serwisu Absencje.

Więcej o usługach informatycznych na it.uw.edu.pl.

UNIWERSYTET – DOBRZE NAOLIWIIONA MASZYNA?

– Przygotowując analizę jakiegoś zagadnienia, bardzo często popełniamy błąd – opieramy się na dokumentach i statystykach, zamiast zapytać tych, którzy dzięki codziennej pracy mają unikatową wiedzę i doświadczenie – tłumaczy prof. Anna Giza-Poleszczuk, prorektor UW ds. rozwoju i polityki finansowej. – Chcieliśmy zrozumieć, jak funkcjonuje mechanizm Uniwersytetu, a tego nie da się osiągnąć bez rozmów z osobami, które ten mechanizm obsługują – dodaje. Tak narodził się pomysł zorganizowania warsztatów dla pracowników administracji. Spotkania odbywały się od maja do lipca 2013 roku, w sumie w 29 warsztatach wzięło udział pół tysiąca osób. Byli to pracownicy administracji 19 wydziałów oraz 10 biur centralnych. Uczestnicy warsztatów opisywali pracę własnej jednostki, relacje z innymi biurami i wydziałami, przywoływali konkretne sytuacje.

Dzięki spotkaniom powstał obraz Uniwersytetu jako instytucji i miejsca pracy, zarysował się schemat wzajemnych relacji jednostek i osób, wyraźnie uwidoczniły się pola, które wymagają

poprawy. Powstała lista zmian i usprawnień proponowanych przez pracowników. – Osoby obsługujące na co dzień „uniwersytecka machinę” mają najwięcej wyczucia, co w niej trzeba naoliwić, mają dobre pomysły i sprawdzone sposoby radzenia sobie w różnych sytuacjach, z których warto skorzystać – podkreśla prof. Giza-Poleszczuk.

Wnioski płynące ze spotkań zebrano w raporcie, który otrzyma każdy uczestnik warsztatów. Jego autorzy unikali ocen i wskazywania winnych, starali się zrozumieć przyczyny nieporozumień, błędów czy opóźnień. Materiał ma być punktem wyjścia do wprowadzenia zmian w funkcjonowaniu uczelni, niekiedy drobnych innowacji, które jednak usprawnią pracę administracji.

Mimo że spotkania z założenia miały wskazać bolączki i nieprawidłowości, pokazały też pozytywne aspekty funkcjonowania Uniwersytetu. Pracownicy czują silną więź z uczelnią, identyfikują się z nią. Postrzegają UW jako prestiżową i stabilną instytucję. Doceniają bezpieczeństwo

OBSZARY FUNKCJONOWANIA UCZELNI

WEWNĘTRZNA
KOMUNIKACJA

POLITYKA
INFORMACYJNA

ZARZĄDZANIE
LUDŹMI

WEWNĘTRZNA
ORGANIZACJA

NAJWAŻNIEJSZE PROBLEMY

- brak dopracowanego systemu obiegu informacji
- niewłaściwy sposób informowania o wprowadzanych na uczelni zmianach, ich przyczynach, zewnętrznych uwarunkowaniach (np. regulacjach prawnych)
- brak wewnętrznych narzędzi poznawania się i komunikowania – bariery w budowaniu relacji pomiędzy jednostkami, pracownikami

- brak jasnych kryteriów oceny i awansowania pracowników
- brak przejrzystego systemu nagradzania pracowników

- niejasne zależności pomiędzy jednostkami i zakres ich kompetencji
- czasochłonne procedury
- precedensowe załatwianie wielu spraw

zatrudnienia, szczególnie na obecnym, trudnym rynku pracy.

Głównym źródłem problemów w funkcjonowaniu uczelni jest jej wielkość i złożoność. Przytoczenie podstawowych danych dotyczących liczby pracowników, jednostek, budynków czy projektów, nie wystarczy by zrozumieć ogrom instytucji. Rozmiar uczelni utrudnia komunikację i integrację, co powoduje rozbieżności uniwersyteckiej społeczności na grupy. Podczas warsztatów pojawiły się porównania do archipelagu wysp, należących nominalnie do jednego państwa, lecz oddalonych od siebie. Teraz uczelnia stoi przed niełatwym zadaniem – rozwiązaniem zdiagnozowanych w trakcie konsultacji problemów. W rozpoczynającym się roku akademickim możemy spodziewać się pierwszych propozycji, np. oferty szkoleń i staży wewnętrznych. – Podjęliśmy ogromne zobowiązanie, uczestnicy warsztatów zaufali nam, otworzyli się, teraz piłka jest po naszej stronie – zaznacza rektor Giza-Poleszczuk.

- » Uniwersytet działa jakby był konfederacją różnych państw.
- » Niejasne są dla mnie różnice pomiędzy niektórymi działami administracji. Jeśli chcę coś załatwić, muszę wykonać wiele telefonów, zanim trafię do właściwej osoby.
- » Trudno powiedzieć, czy wydziały są „pod” czy „nad” centralą, jaka jest między nimi zależność.
- » Dobrze byłoby uświadomić sobie, że wszyscy gramy do jednej bramki. Często słyszy się, że coś jest sprawą wydziału, a przecież to są sprawy całego Uniwersytetu.

OPINIE PRACOWNIKÓW



PROPOZYCJE ZMIAN

- informowanie o zmianach w sposób przyjazny, zrozumiały dla odbiorcy (np. podawanie powodów zbierania danych oraz ich przeznaczenia)
- zasady konsultacji wprowadzanych zmian z pracownikami
- rozwój intranetu (portalu wewnętrznego uczelni), a także uruchomienie aplikacji służących komunikacji („moduł społecznościowy” na bazie narzędzi Google Apps for Education)
- powrót do spotkań między pracownikami wydziałów a przedstawicielami biur centralnych

- oferta szkoleń i staży wewnętrznych (możliwość zdobycia doświadczenia podczas pracy w innym uniwersyteckim biurze)
- wypracowanie systemu oceny pracowników oraz mechanizmów motywacyjnych

- wprowadzenie zintegrowanego systemu zarządzania uczelnią, co będzie wiązało się z przemyśleniem i uproszczeniem struktury organizacyjnej oraz wprowadzeniem jasnych zasad podległości i odpowiedzialności (o systemie przeczytać można na str. 23-24)

Niemal każda uczelnia wydaje swoją gazetę. Czasem jest to miesięcznik, częściej dwumiesięcznik, ale bywają też kwartalniki, a nawet półroczniki. Na początku września prawie 60 redaktorów gazet z całego kraju przyjechało do Katowic, żeby porozmawiać o problemach i przyszłości gazet uczelnianych. Na Śląsk pojechała też reprezentacja naszej gazety: Iza Wołczaska i ja.

POPULARYZACJA CZY KRONIKARSTWO?

Pisma uczelniane przygotowywane są głównie dla środowiska akademickiego. Mają integrować pracowników, informować o życiu szkoły, najważniejszych wydarzeniach i odkryciach. Niektóre redakcje są wydzielonymi jednostkami, zajmującymi się jedynie prowadzeniem pisma. Są też takie, które działają w biurach promocji, rektoratach albo są prowadzone na zlecenie przez osoby niezwiązane na stałe z uczelnią. W Akademii Morskiej w Gdyni gazetę prowadzi jedna osoba. Pierwsze trzy numery przygotowała sama, ale teraz z pomocą przychodzą studenci i pracownicy. Najbliższe wydanie ukaże się w grudniu. Będzie mieć nieco ponad 40 stron. Nie jest to najbardziej aktualna gazeta, ale nie taki jest jej cel. Ma być po prostu uczelnianą kroniką.

Nasze pismo dużo miejsca poświęca na popularyzację nauki. Wolimy pisać o ciekawych badaniach naukowych niż jubileuszach i przecinaniu wstęg. Większość gazet nie ma jednak takiej swobody w doborze tematów, bo często są one narzucane. Redaktorzy niczym Jan Długosz skrupulatnie odnotowują fakty z życia uczelni. Tam rektor jest zawsze Rektorem, kierownik Kierownikiem, a biuro Biurem. Wielkie litery dwoją się i troją, aż można dostać oczopląsu. – To przejawy nadmiernej grzeczności – kwituje dr Katarzyna Wyrwas z Internetowej Poradni Językowej UŚ. Czy na pewno tylko tego? Większość redaktorów chętnie by z tego zrezygnowała, ale nie pozwala im na to „dworska etykieta”. Wbrew sobie i zasadom poprawnej polszczyzny, piszą więc wedle dziwnych reguł. A przecież gdyby ograniczyć wszystkie Jego Magnificencje, wypisywanie doktorów *honoris causa* i pełnych nazw wszystkich stanowisk, może w gazetach byłoby więcej treści, a nie formy? Nad samą formą też trzeba popracować. Wzorem najbardziej poczytnych gazet na okładkach i w środku zamiast zdjęć z konferencji albo „gadających głów”

można przecież umieścić ciekawą grafikę, rysunek albo symboliczną fotografię.

Największy problem sprawia jednak interpunkcja. Nie jest to tylko kłopot pism uczelnianych, to problem współczesności. – Przystajemy potrzebować przecinków. Jeszcze w XVI wieku interpunkcja miała charakter retoryczny. Była dostosowana do języka mówionego, a nowa zaczyna być interpunkcją logiczno-składniową – wyjaśnia dr Wyrwas.

POLSKI PO POLSKU

Jakie są jeszcze problemy? Rozmówcy. Jak przekonać profesora fizyki kwantowej z długoletnim doświadczeniem, aby o swoich badaniach opowiedział tak, by zrozumiał go student historii czy muzykologii? Czasem jest to nie do przebrnięcia.

Przykład? Na jednej z konferencji dotyczącej żywności GMO, reporter zapytał dwie studentki o to, czy podobało im się spotkanie i czy czegoś się nauczyły.

- O tak! Na pewno nie będziemy jeść mięsa!
- odpowiedziały.
- A dlaczego nie – dociekał dziennikarz.
- Bo zawiera DNA.

– Nie rozumiały komunikatu, bo być może był za trudny. W popularyzacji nauki trzeba powagę naukowca sprowadzić do języka zwykłych ludzi – mówił dr hab. Mirosław Nakonieczny, prorektor Uniwersytetu Śląskiego. Potwierdziła to jedna z uczestniczek. – Naukowcy nie chcą mówić językiem prostym. Po autoryzacji trafiają do nas teksty naszpikowane specjalistycznymi określeniami i nic nie możemy na to poradzić – przyznała.

Zgodnie z prawem prasowym autoryzacji nie podlega cały artykuł, a jedynie użyte w nim cytaty (i to tylko jeśli cytowany o taką możliwość wyraźnie poprosi). To, że redaktorzy pokazują tekst w całości przed drukiem, to tylko kwestia ich dobrej woli. Niektórzy rozmówcy zapominają jednak, kto jest autorem artykułu i wprowadzają swoje zmiany: szyk zdań, dodają ciekawe dla nich wątki, bibliografię, wprowadzają też zwroty zrozumiałe tylko dla wąskiego grona specjalistów. Teksty z dziennikarskich, popularnonaukowych przeistaczają się w referaty naukowe. Jeśli uniwersytet jest duży i ma wielu chętnych do pisania, problem nie jest tak odczuwalny. Gorzej jeśli z tekstu zrezygnować nie można.

Redaktorzy gazet akademickich spotkali się po raz 21. Za rok kolejny zjazd, tym razem we Wrocławiu. Może warto zaprosić na to spotkanie także tych, którzy o formułach pism uczelnianych decydują?

REWOLUCJA BEZ PAPIERÓW

Z wolna zapominam, że istniała przeszłość przed reformą bolońską, której rewolucyjna świeżość porwała czupurne środowisko. Nie minęło dziesięciolecie, jak odmieniła uczelniany ład: punkty ECTS, licencjaty, studia magisterskie, suplementy zamiast indeksów. Wszystko nowe, tylko książki te same.

Wśród europejskich zachwyty miałem ja powody, aby siedzieć cicho – rozpocząłem podręcznik. Dyskusje z wydawcą, przyjemnie rekompensujące sknerstwo firmy, otwierały mi oczy: książka akademicka jest wydawana z łaski resortu. Sięgać poza wznowienia lub tłumaczenia udaje się zdobywając autora sposobem, perswazją, pochlebstwem. Śledziłem rozkwit pisarstwa po reformie szkolnej. Dałem się skusić naiwnie sądząc: dziś nowe studia, jutro nowe podręczniki. Radość z widoku dzieła w księgarskiej witrynie zmała mi chłodna reakcja dyrektora: To nie nauka!

Niezrażony podjąłem kolejne wyzwanie jako reżyser książki zbiorowej. Znalazłem zrozumienie wielu, lecz naukowe tuzy zbywały zaproszenie ze słabo skrywanym politowaniem. Gdy manuskrypt leżał na stole, omal nie pożałowałem trudu. Wydawca zażądał sponsora – dziś resort premiuje upowszechnianie nauki¹, wiedzy niekoniecznie. Gest dziekana uratował mój honor, lecz na zasłużone wakacje jak zwykle suplałem oszczędności.

Na uczelnianych targach książki widzę stoiska uniwersytetu obok szkoły muzycznej, rolniczej i politechnicznej – drukują wszyscy. Przy regale skrzącym się tytułami zasięgam języka. – Podręczniki? Monografie – odpowiadają². Pytającym spojrzeniem domagam się objaśnień. Monografia to punkty, często awans. Autor dostarczy i tekst, i recenzje, załatwi uczelnianą dotację. Nie widząc kupujących, o czytelnika nie pytam. U sąsiadów (też pusto) oglądam jednolicie skromne okładki. Skrypty? Nauczyciele piszą do własnych zajęć. Nieznane nazwiska, tematy wielokrotnie tu i tam widywane. Odchodzę w rozterce.

Studia bolońskie zbliżyły się do magisterskiej mety, gdy wprawiony w europejskich programach kolega zaczął mnie na korytarzu. – Są środki – szepnął tajemniczo na wydawanie materiałów do zajęć. Kapitał ludzki. Usłyszawszy jakie honorarium otrzymam za 100 stron maszynopisu, ścisnąłem mu rękę z uszanowaniem.

Pytaniem o wydawcę jest zdziwiony: powielimy dla uczestników kursu. Ludzki ten kapitał!

– Kupujecie książki? – badam studentów. – Nie warto – słyszę. – Jest internet. Materiał wykładowców też z internetu, nieprawdaż? Nie przeczę. Pamiętam korepetycje u wydawcy: książka to nie papier, to utrwalona myśl autora, którą należy udostępniać i chronić zarazem. I studiowanie przez ekran jest nieskuteczne bez przewodnika³.

Urodzaj na monografie poucza, że akademicy nauczyciele pisać potrafią, lecz nie o czytelnika tu idzie – o los autora wymierny w punktach i karierze. Naukowe przesłanie zmusza do eksplorowania sekretnych pokładów wiedzy przez strome ścieżki dostępne wtajemniczonym. Nadwiślańskie narzecze dodatkowo ochroni twórcę przed penetracją obcych, nakład zakurzy się w szafach, gdy autor zdobędzie upragnione fawory. Wiedzą to wirtualne oficyny; za opłatą wydrukują wszystko, dostarczając jeden papierowy egzemplarz.

Podręcznika w księgarniach nie zauważą ministerialne punkty ani uczelniane rankingi, *opus magnum* wydrukowane u światowego wydawcy nie przewały ulotnych publikacji wśród premiowanych zasług. Pisarstwo akademickie zamiast ambicją wybitnych, bywa niszową ekstrawagancją niespełnionych. A z urzędowej wyżyny, jedynym motywem autora otwartych syntez współczesnej wiedzy jest zysk⁴.

Tymczasem dzieło akademickiej myśli, prezentowane w formie dla epoki właściwej, rodzi się z twórczej inwencji jak obraz, kompozycja czy film. W cywilizowanej społeczności jest równie niezbędne. Poddane wymiernej ocenie przez swój zasięg, bywa progiem poznania, drogowskazem na dziesięciolecie. Organizując informacyjny bezład pozostaje najwyższym elementem przekazu wiedzy, łącznikiem z obszarem światowej myśli, punktem odniesienia dla edukacyjnej swawoli.

Autorom akademickiej literatury sprawiedliwość odda historia, łaskawsza od urzędowych rygorów. Pokolenia uczniów przechowują w pamięci ich nazwiska obok światowych autorów, wytwórcy uczonej makulatury giną w mroku.

¹ Dz. U. 2010, nr 179, poz. 1206. ²Dz. U. 2012, poz. 877, § 8, ust. 2. ³ Medytacje Lajkonika (XIV), *E-dukacja*. ⁴ Rozporządzenie MNiSW w sprawie dotacji przedmiotowych do podręczników akademickich, projekt z dnia 5.12.2012.



Więcej felietonów
prof. Lajkonika
znaleźć można na
stronie: www.pismo-uczelnii.uw.edu.pl

ZNAKOMITY KANDYDAT

Amerykańska Akademia Sztuk i Nauk – na zlecenie tamtejszego Kongresu – przygotowała raport *The Heart of the Matter*, którego wyniki mogą być dość zaskakujące dla wielu osób w Polsce. W czasie, gdy u nas w najlepsze ma się czarny PR wokół nauk humanistycznych i społecznych, amerykańscy eksperci zwracają uwagę na zbyt praktyczny i wręcz „technologiczny” model kształcenia wyższego obowiązujący w Stanach Zjednoczonych. I przestrzegają, że skutki kształcenia, w którym nacisk kładzie się prawie wyłącznie na praktyczne umiejętności zawodowe, a pomija np. wartości obywatelskie – mogą być w przyszłości bardzo niekorzystnie dla gospodarczej i militarnej pozycji Stanów Zjednoczonych. Pełny raport można pobrać ze strony: www.humanitiescommission.org. W komentarzu do tego opracowania prof. Marcin Król z Wydziału Stosowanych Nauk Społecznych i Resocjalizacji w rozmowie w Tokfm.pl powiedział:

Widocznie i Amerykanie mają poczucie, że nauki humanistycznej są za mało doceniane.

Choć i tak doceniają je bardziej niż w Europie, gdzie dochodzi do horrendów. Bo to właśnie Unia Europejska promuje kierunki ściste, doprowadzając do absurdów. Granty są dla zespołów, także w humanistyce. A jak piszę książkę, to piszę ją sam. Leszek Kołakowski, Andrzej Walicki czy Charles Taylor nie pracowali w grupie. Jak się takich ludzi nie wspiera, to jest kiepsko.

(...) Dziś inwestujemy w politechniki, jest szafa na inżynierów i lekarzy, ale za chwilę będzie nadprodukcja. Z czysto praktycznego punktu widzenia humaniści, jeżeli są dobrzy, są znakomitymi kandydatami na każde stanowisko. Wszyscy moi magistranci znajdują pracę. W Polsce panuje straszne zakłamanie, że młodzież nie może znaleźć pracy. Otóż młodzież po dobrym uniwersytecie, po humanistyce znajduje pracę z łatwością. Nie znam moich absolwentów, którzy szukaliby pracy. To ich szukają, chociaż oni są historykami idei, socjologami. Rzecz jednak w tym, że nie potrzebujemy humanistów, ale dobrych humanistów.

Ameryka tęskni za humanistami?,
Gazeta.pl, 1 sierpnia 2013

MINISTER W REKLAMIE

W podobnej sprawie wypowiedzieli się też inni naukowcy. Prof. Mirosława Nowak-Dziemianowicz z Dolnośląskiej Szkoły Wyższej powiedziała:

Chyba jesteśmy jedynym krajem na świecie, gdzie urzędujący minister szkolnictwa wyższego – podkreślam: nie szkolnictwa technicznego – występuje w reklamie zachęcającej do wyboru politechnik i studiowania na kierunkach ścisłych, bo tylko to zagwarantuje bezpieczną przyszłość. Minister nie jest od tego, żeby reklamować jeden kierunek kosztem drugiego.

(...) Nie ma świeżych prognoz, ilu inżynierów i w jakich specjalnościach potrzeba. Ale większym problemem jest sprowadzanie w debacie publicznej każdej ludzkiej działalności do użyteczności oraz odnoszenie wyłącznie do wzrostu gospodarczego i PKB. Ten rodzaj argumentowania skazuje filozofa, kulturoznawcę, historyka na poczucie bezużyteczności. To jest straszne. Nie żyjemy wyłącznie po to, żeby zarabiać, produkować i konsumować. A temu w tej chwili usiłujemy podporządkować edukację. Pracodawcy i rynek pracy dyktują uczelniom, jak uczyć. To bez sensu.

Odniosła się też do perspektyw pracy dla inżynierów:

Świetnie, jeśli ją znajdą, jeśli będą mieli taką wiedzę i umiejętności, jakich oczekują pracodawcy. Ale czy nie jest równie ważne, żeby byli ludźmi samodzielnie myślącymi, kreatywnymi, dobrze zorientowanymi w dorobku kulturowym? Tego nie osiągną na skrojonych pod pracodawcę wąskich studiach technicznych. Zostały zachwiane proporcje – powstała moda na kierunki techniczne, a humanistyka poszła w niełaskę. Będziemy jeszcze po tym płakać.

Dajcie szansę humanistom,
„Gazeta Wyborcza”, 13 sierpnia 2013

PRODUKCJA KNOWLEDGE WORKERS

Prof. Piotr Stec z Uniwersytetu Opolskiego na swoim blogu napisał:

Chcemy dostosować programy studiów do potrzeb rynku pracy. Uzawodowić, przekształcić kształcenie na poziomie wyższym w trening zawodowy, naprodukować *knowledge workers*, którzy natychmiast znajdą pracę w zawodzie. Studenci, którzy złączą studia w roku 2014/15 skończą je w 2017 roku, jeśli zrobią jeszcze magisterium – w 2020 roku. Planujemy w perspektywie dwu-, trzy-, pięcioletniej (plus czas na zatwierdzenie planów, programów, KRK itd). Czy jesteśmy w stanie przewidzieć dziś czego będzie potrzebował pracodawca w roku 2020? Nie. Możemy natomiast dać im to, co Anglicy nazywają *transferable skills*: umiejętność przyswajania i krytycznego przetwarzania informacji, skutecznego komunikowania się czy planowania pracy. Po prostu – myślenia i działania. Tego uczą każde studia, od filozofii do zoologii. Zawodów, w których potrzebne są konkretne umiejętności fachowe zdobywane na studiach, nie ma zbyt wiele. W tych zawodach też nie możemy przewidzieć potrzeb rynku pracy. Potrzebujemy dziś programistów, ale nie wiemy, czy za 10 lat w ogóle komputery takie, jakie znamy będą istnieć.

Oszczędzamy,
www.piotr-stec.pl, 31 sierpnia 2013

UNIESZCZĘŚLIWIENIE WYKŁADOWCÓW

Dr Magdalena Zawisławska z IKP UW na swoim blogu udzieliła zaś kilku porad kandydatom na studia:

Drogi kandydacie – jeśli pytasz, co można robić po takich czy innych studiach, to daj sobie spokój ze studiowaniem. Idź do szkoły gastronomicznej, skończ jakieś dobre technikum, wyucz się na hydraulika. W przeciwnym razie będziesz bardzo nieszczęśliwy na studiach i co więcej – nieszczęśliwiz także nas – wykładowców. Bo nie ma nic gorszego, niż uczyć obrażonych na cały świat ludzi, którzy siedzą w sali wykładowej, bo muszą, choć przedmiot ich kompletnie nie interesuje.

Tak naprawdę większość wiedzy zgromadzona przez ludzkość jest z punktu widzenia przeżycia w tym świecie zupełnie bezużyteczna. Bo my ludzie mamy to do siebie, że gromadzimy i katalogujemy masę zupełnie zbędnych informacji. Co nas w końcu interesuje, czy na Marsie kiedyś była woda? A przecież wysłaliśmy tam za grube miliony dolarów łazika, żeby zbierał dane, które z punktu widzenia naszego gatunku są do niczego nieprzydatne. Łazik nazywa się *Curiosity*, czyli ciekawość. Albert Einstein powiedział: »Ważne jest by nigdy nie przestać pytać. Ciekawość nie istnieje bez przyczyny. Wystarczy więc, jeśli spróbujemy zrozumieć choć trochę tej tajemnicy każdego dnia. Nigdy nie trać świętej ciekawości. Kto nie potrafi pytać nie potrafi żyć«. I chyba warto o tym pamiętać, że nie wszystko w nauce da się przelożyć na ramy i efekty kształcenia, sylabusy i sylwetki absolwenta, który z ładnym dyplomem w ręku zasili grzesznie machinę korporacyjną. Uczenie to powinna być przede wszystkim zabawa (tak, tak!), pasja, przyjemność i wyzwanie. I tak naprawdę – uczyć się należy całe życie.

*Wiedza całkiem bezużyteczna,
„Caesar non supra gramaticos”,
19 sierpnia 2013*

CZY SZKOLNICTWO JEST JESZCZE POTRZEBNE?

Z kolei dr Marta Zimniak-Hałajko z IKP UW przeanalizowała kreowany przez media wizerunek studentów:

Studenci, którzy wybierają kierunki nieperspektywiczne ekonomicznie, nie są przedstawiani w prasie jako osoby świadome, które kierują się własnymi zainteresowaniami: Wybierają studia, które łatwo się kończą. »Kiedy przychodzi dorosłe życie, to miny im rzedną«. Student zostaje odpodmiotowiony i pozbawiony atrybutów sprawczych: dobrze lub źle ocenia zapotrzebowanie rynku na rodzaj siły roboczej, stawia sobie wymagania, by się do tych wymogów dostosować, lub jest zbyt leniwy, by im sprostać.

Przegranym absolwentom w odnalezieniu się na rynku pracy niezbędna będzie pomoc zewnętrzna, pozauniwersytecka. Ratunkiem okazują się szkolenia organizowane przez samorządy, które wyposażają absolwentów w umiejętności miękkie, a także szkoły zawodowe, które bezrobotnych kulturoznawców czy politologów kształcą na fryzjerów i agentów ochrony.

Granice między światem pracy a światem edukacji zacierają się, znikają stratyfikacje, relacje następstwa i podziały życia na etapy, kumulatywność – absolwent wciąż jest na starcie, wciąż zaczyna naukę, w trakcie której przechodzi (zwłaszcza gdy jest humanistą) od zadań złożonych do prostych, od kwalifikacji intelektualnych do technicznych.

*Wokół reformy. Szkolnictwo wyższe w polskim dyskursie prasowym,
„Praktyka Teoretyczna”, 1 (7) 2013*



ZŁOTA JEST ZE ZŁOTA

OLGA BASIK

Sala Złota w Pałacu Kazimierzowskim jest tak naprawdę dwukolorowa. Więcej jest w niej nawet białego, dlatego kiedyś nazywano ją Białą. Po 60 latach najpiękniejsze uniwersyteckie wnętrza doczekało się remontu. Teraz na gipsową sztukaterię położono prawdziwe złoto.

Po zniszczeniach w trakcie II wojny światowej cały pałac odbudowano. Wtedy Sali Złotej nadano nowy charakter. Połączono w niej styl klasycystyczny z późnobarokowym i elementami ornamentyki rokokowej. Takie połączenie to jeden z lepszych przykładów wnętrza reprezentującego styl stanisławowski.

Po ponadpółwiecznym użytkowaniu na ścianach widoczne były szare zabrudzenia, przetarcia farby oraz liczne obtłuczenia dekoracji. Tynk był w wielu miejscach popękany. Remont musiał więc być kompleksowy. Prowadzone były roboty murarskie, tynkarskie, ciesielskie, ślusarskie, malarskie i elektryczne. Zaprojektowano też nowy system ogrzewania, który wykorzystuje istniejące już kanały wentylacyjne. Prace były nietypowe ze względu na wyrafinowane złote zdobienia sztukaterii.

Salę upiększają perełkowania i złocone listwy, woluty zwane ślimacznicami, girlandy z przepłatających się roślin, złoconych kwiatów róży i irysa oraz wstążek. Rozpoznawalne są liście akantu. W zaokrąglonych rogach górnej kondygnacji są też dekoracyjne muszle. Pięknie zdobiony sufit wypełnia dekoracja rozchodząca się od centralnej rozety. Na środku zawieszono okazały, kryształowy żyrandol.

Z PODUSZKI NA ŚCIANĘ

W latach 50. nie kładziono prawdziwych złoceń. Zamiast szlachetnego metalu użyto szlagmetal. To imitacja złota, stosowana głównie do zdobienia. Tym razem wykorzystano prawdziwe złoto, niemal najwyższej próby, bo karatów jest w nim 23,75.

Gdy zaczęły się wakacje do Pałacu Kazimierzowskiego na pierwsze piętro przybyły ekipy remontowe. Wyniesiono wszystkie zabytkowe fotele, kanapy, stoły, oszklone szafy, a nawet wyjęto z zawiasów drzwi. Po uzupełnieniu i pomalowaniu ścian do pracy wkroczyły pozłotniczki. Przez 1,5 miesiąca upiększały tę najbardziej okazałą uniwersytecką salę. Termin był krótki, ale to zrozumiałe. Na co dzień odbywają się tam uroczystości akademickie, więc nawet tak duży remont można było przeprowadzić jedynie w trakcie wakacji.

Złotem się nie posypuje ani nie maluje, złoto się przykleja. Przynajmniej tym razem. Jest w postaci płatków grubości mniejszej niż 1 mm. Każdy z nich to kwadrat o wymiarach 8 na 8 cm. Jak złoto trafia na ścianę? – Najpierw stare złocone szlifujemy drobnym papierem ściernym, następnie specjalnym kitem z drobnoziarnistym wypełniaczem uzupełniamy ubytki i wyrównu-

jemy profile ram, je też trzeba wygładzić, żeby nie stworzyć niepotrzebnych nierówności – mówi Dorota Więckiewicz, jedna z pozłotniczek.

Później trzeba usunąć wszelkie pyłki, żeby można było nałożyć kilka warstw szelaku, naturalnej żywicy, która posłuży jako izolacja. – Dla kitów, które są bardziej higroskopijne i dla szlag-metalu, który został na powierzchniach, żeby zatrzymać jego dalsze utlenianie – tłumaczy konserwatorki.

Kolejna warstwa to specjalistyczny klej, który utrzyma złoto na zdobieniach. Złocić można jednak dopiero po 12 godzinach. Po tym czasie pozłotniczki na specjalne poduszeczki przekładają z książeczek cieniutkie plasterki złota. Każdy z nich tną odpowiednio na płaty

i kolejno przenoszą je na złożone powierzchnie. Złoto jest bardzo plastycznym materiałem, dlatego przycięcia są niewidoczne. Na wyposażeniu konserwatorki muszą mieć krem do rąk, żeby kawałeczki złota przez chwilę trzymały się pędzla, trzeba je czymś do niego przyczepić.

Elementy dekoracyjne, które znajdują się w zasięgu rąk zostały też dodatkowo zabezpieczone, żeby uniknąć w przyszłości przetarć. Złoto się nie utlenia, więc nie powinny powstać na nim żadne zmiany wizualne, możliwe są jedynie uszkodzenia mechaniczne. – Jeśli będą sprzyjające warunki ciepło-wilgotnościowe, nie będzie zalania ani pożaru, to zdobienia wytrzymają na pewno kolejne 60 lat, a myślę, że nawet dłużej – zapewnia Dorota Więckiewicz.

Prace w Sali Złotej prowadziły dwie pracownice konserwacji zabytków Dom Sztuki oraz Mateusz.

DOBRZE POLICZONE

87 metrów kwadratowych ma Sala Złota i jest wysoka na dwie kondygnacje. Wielkie są też w niej drzwi, które wymagały restauracji. Trzy pary drewnianych skrzydeł, mające po 6 m² powierzchni każde, odnawiane były przez cały miesiąc. Teraz nie tylko lepiej wyglądają, ale i lepiej się otwierają. Bez skrzywienia, lekko, a nawet dostojnie, bo również one są dekorowane złotymi listwami.

11 pozłotniczek, a czasem nawet tuzin, przez półtora miesiąca zdobiło wnętrze sali. Pracowały zmianowo. Zaczynały o godz. 7 i kończyły o 19. Nie można ich mylić ze złotniczkami, bo mimo że i jedne, i drugie w swojej pracy wykorzystują ten szlachetny metal, to te pierwsze złotem dekorują, a te drugie wyrabiają z niego np. biżuterię. Pozłotniczki pracujące w Sali Złotej wcześniej upiększały już zdobienia na Zamku Królewskim, w Pałacu w Wilanowie i wielu warszawskich kościołach.

3 mm to w wielu miejscach obecna grubość drewnianego parkietu. Tam, gdzie przez ponad pół wieku maszerowali goście podłoga wytarła się nawet do grubości 1 mm. Wcześniej parkiet cyklinowano, aby zachować jego elegancki wygląd. Przez to posadzka jest teraz znacznie cieńsza. Dlatego ostatnimi czasy zamiast po niej, chodziliśmy po wielkim dywanie. Podłoga przeszła teraz zabiegi konserwatorskie i być może dywan na jakiś czas zniknie. A jest co oglądać. Podłogę wykonano po drugiej wojnie światowej, do jej ułożenia wykorzystano trzy rodzaje drewna. Prawie całą jej powierzchnię wypełnia ozdobna rozeta, która kształtem przypomina dekorację stropu.

2,5 do 3 metrów długości ma żyrandol, który zdobi wnętrze sali. Jego szerokość to 2 metry. Tak na oko, bo nigdzie nie ma na to dokumentów, a zmierzyć go – gdy był myty – nie zdążyliśmy. Na szczęście, żeby go oczyścić nie trzeba było wykorzystywać rusztowania. Aby łatwiejsze było

jego czyszczenie, wymiana żarówek czy drobna konserwacja, zamontowano specjalny mechanizm, dzięki któremu można żyrandol opuścić na linie, by zawisł nad podłogą. Wystarczyła więc drabina. W przyszłości stalowe elementy będą złote, tak by jeszcze bardziej wpasował się we wnętrze. Podobne żyrandole są w Pałacu Kultury i Nauki.

71 senatorów, doradców i stałych gości posiedzeń wkrótce będzie mogło zasiadać w odnowionej Sali Senatu, bo oprócz Sali Złotej w Pałacu Kazimierzowskim odrestaurowano również ją. Przez wakacje wnętrze zostało gruntownie odświeżone. Uzupełniono ubytki w ścianach i odmalowano je. Między obrazami rektorów znajdują się prostokątne ramy wypełnione dekoracyjną tkaniną. Początkowo miała być tylko uprana, ale ze względu na zniszczenia wymieniono ją na nową. Portrety rektorskie, które tam zawisną, na pewno prezentować się będą świetnie.

3 lata trwać będzie kompleksowa renowacja Pałacu Czetwertyńskich-Uruskich, gdzie mieści się Wydział Geografii i Studiów Regionalnych. W czasie wakacji przygotowywano dokumentację. Odnowiona zostanie cała elewacja, a to prawie 3,5 tys. m². Wymienionych zostanie około 260 okien różnej wielkości. Ponieważ jest to obiekt zabytkowy, muszą być one odtworzone, czyli wykonane w tym samym stylu, o identycznych wymiarach oraz z tych samych materiałów, co poprzednie. Robione są więc na zamówienie. Dokończona zostanie też wymiana dachu.

68 z 280 pokoi odnowiono w domu studenta nr 1, czyli popularnym Muchomorku, znajdującym się na Ochocie. Oprócz remontów w studenckich mieszkaniach, pomalowano każdą z dziesięciu kuchni, odnowiono też stolówkę, pokoje cichej nauki i te gdzie zazwyczaj jest głośno – z bilardem i stołami do ping-ponga. Wokół budynku jest też nowy chodnik, o ewentualne potknięcia będzie więc zdecydowanie trudniej. Prace toczyły się we wszystkich sześciu domach studenta. Najmniej do zrobienia było w akademiku przy ul. Zamenhofa, bo ten kilka lat temu gruntownie odnowiono.



ROBERT
GAWKOWSKI

FETA W CZASIE MAŁEJ STABILIZACJI

W 2016 roku będziemy obchodzić 200. rocznicę utworzenia Uniwersytetu. Na łamach „UW” regularnie będziemy pisać o przygotowaniach do tego wydarzenia. Na początek przypomnijmy jednak, że jubileuszy na UW obchodzono już kilka, ale najbardziej został zapamiętany ten z 1958 r. upamiętniający nie rocznicę powołania uczelni (19 listopada 1816 r.), lecz moment uroczystej inauguracji (14 maja 1818 r.).

W latach stalinowskich władza odcinała się od wszystkiego, co burżuazyjne. Profesorowie uniwersyteccy zaprzestali noszenia tóg, a namalowane już portrety kilku przedwojennych rektorów powędrowały do magazynu, gdzie prawie 10 lat czekały na zawieszenie w holu Pałacu Kazimierzowskiego. W Sali Senatu zawieszono to portret towarzysza Bolesława Bieruta. W tych okolicznościach, w 1955 r. obchodzono X-lecie UW w PRL. Odbyła się sesja naukowa i napisano kilka artykułów propagujących naukę socjalistyczną. Całość wypadła blado, może dlatego, że bardziej chwalono PRL niż uczelnię. Dodatkowo jubileusz został przyćmiony hucznymi obchodami otwarcia Pałacu Kultury i Nauki, Stadionu X-lecia oraz Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów. W morzu marksistowskich pochlebstw wypowiedzianych na jubileuszowej konferencji, wyróżniał się referat Rafała Gerbera, który nieśmiało zaproponował: „Wydaje się słuszne, aby w dziesięciolecie pracy UW w Polsce Ludowej podać nowe wiadomości, kreśląc krótki obraz początków tego uniwersytetu, który sięga tradycjami do Szkoły Rycerskiej”. Kto wie, może Gerber doskonale znający historię początków warszawskiej uczelni, myślał już o następnym roku i o tym, że w 1956 r. miało 140 lat od założenia Uniwersytetu. Rok 1956 był wyjątkowy, ale nie sprzyjał fetom i celebrze. Jak organizować jubileusz, gdy wokół niespokojna atmosfera – przesilenie polityczne związane z dojściem do władzy Władysława Gomułki, a zaraz potem krwawe wypadki w Budapeszcie?

TOGI I BIRETY ZAMIAST PORTRETU BIERUTA

Po 1956 r. mała gomułkowska stabilizacja zezwalała na życzliwsze spojrzenie na przeszłość. Portret Bieruta z Sali Senatu powędrował na strych, a z szaf wyciągnięto barwne togi i birety. Jesienią 1957 r. Senat uczelni uchwalił „zorganizować 14 maja uroczysty obchód dla uczczenia 140. rocznicy inauguracji UW oraz 150. rocznicy założenia jego pierwszego wydziału, tj. Szkoły Prawa”. Powołano komitet pod przewodnictwem rektora Stanisława Turskiego, ale pierwsze skrzypce grał w nim znakomity prorektor

Aleksander Gieysztor. Datę uroczystości ustalono sensownie – na maj, bo w tym miesiącu w 1818 r. faktycznie Uniwersytet zaczął prowadzić normalną edukację. Do jubileuszu przygotowywano się starannie, już dużo wcześniej wystosowując zaproszenie do uczonych z całego świata. W grudniu 1957 r. powołano zespół złożony z pracowników naukowych Biblioteki Uniwersyteckiej, który miał przygotować wielką, rocznicową wystawę. A ponieważ ekspozycja miała się odbyć w Pałacu Tyszkiewiczów-Potockich, przy okazji wyremontowano ten budynek. Do pomocy w organizacji jubileuszu poproszono także organizacje studenckie: ZSP, AZS, chór, zespół tańca. Machina przygotowująca święto ruszyła pełną parą.

Święto w 1958 r. zgodnie z planem rozpoczęło się w środę, 14 maja o godzinie 9.30. Do udekorowanego flagami różnych krajów Pałacu Kazimierzowskiego zaczęły przybywać delegacje. Po przywitaniu przez rektora, przed pałacem uformował się wielobarwny pochód, złożony z reprezentantów 31 uczelni z 13 krajów. Na czele kroczyli pedle z laskami, członkowie poczty sztandarowej i profesorowie UW w togach. Podkreślmy, że uniwersyteckie symbole były nieużywane od prawie 20 lat, a ich wygląd przed jubileuszem ujednoliciła powołana do tego komisja Senatu. Jak pisał historyk Stefan K. Kuczyński specjalnie przed obchodem „dawny sztandar uniwersytetu z 1917 r. został przehaftowany na nowy jedwab koloru stalowoniebieskiego, opatrzone nowym drzewcem i główką z godłem uczelni.” Za tak dostojnie ubranymi gospodarzami szli reprezentanci innych uczelni, notable partyjni i rządowi, pracownicy UW i w końcu studenci. Nad porządkiem tego pochodu czuwał sam prof. A. Gieysztor. Korowód liczył kilkaset metrów, a całość była wdzięcznym obiektem do filmowania i fotografowania. Pochód uroczystie przemaszerował wzdłuż szpaleru licznie zgromadzonej publiczności, minął gmach biblioteki i przez dziedziniec główny dotarł do Auditorium Maximum. Tam oczom wchodzących ukazała się dekoracja, na ciemno-niebieskim tle wisiał tradycyjny (a nie PRL-owski) orzeł uniwersytecki,

Robert Gawkowski pracuje w Muzeum UW, stale współpracuje z naszą redakcją.

Uniwersytet w Mińsku sprezentował UW telewizor marki Białoruś III

Za gwiazdora robił stary pedel Jan Dudzik, który pracował na UW od 1915 r. Sympatyczny woźny miał swoje 5 minut

ROK

1958



otoczony 5 gwiazdkami. Ta dekoracja była jeszcze jednym podkreśleniem tego, że warszawska Alma Mater dumna jest z całej 140-letniej, a nie tylko PRL-owskiej tradycji.

ŚNIADANIE O GODZ. 15.00

W szczelnie wypełnionym Auditorium Maximum wysłuchano kilku przemówień, hymnu państwowego i *Gaudeamus Igitur* oraz wykładu jubileuszowego prof. Bogdana Suchodolskiego. Uhonorowano doktoratem *honoris causa* 8 zagranicznych uczonych, a wyróżniającym się pracownikom wręczono okolicznościowe srebrne i brązowe medale (autorstwa znanego medaliera Edwarda Gorola). Na koniec, delegacje różnych uczelni złożyły na ręce rektora UW noty gratulacyjne i dary. Uwagę wzbudziły prezenty od uczelni radzieckich: Uniwersytet Moskiewski im. Łomonosowa podarował wielotomowe dzieła swego patrona, zaś Uniwersytet w Mińsku sprezentował telewizor marki Białoruś III z adapterem. Po tym kilkugodzinnym zebraniu przewodniczący Rady Państwa Aleksander Zawadzki zaprosił najdostojniejszych profesorów do Belwederu. Po drodze goście wstąpili jeszcze do Pałacu Tyszkiewiczów-Potockich, gdzie otworzyli imponującą wystawę historyczną – mieszczącą się aż w 20 salach odnowionego pałacu! Dodajmy, że nad scenariuszem, kwerendą i opracowaniem plastycznym pracowało ponad 20 bibliotekarzy z UW. Zwiedzanie ułatwiał katalog pod redakcją dr. Witolda Benedyktowicza.

Po godzinie 15.00 rektor zaprosił 250 gości do hotelu Bristol na poczęstunek, niezbyt fortunnie nazywany w zaproszeniu „śniadaniem”. Aż wreszcie wieczorem w Pałacu Kazimierzowskim zorganizowano dla 600 gości przyjęcie trwające do późnych godzin nocnych. Tajemnicą pozostaje, jak w starym pałacu zmieściło się aż tylu gości! Nikt jednak nie narzekał, pogoda i humor dopisały. Chyba wszyscy byli pod wrażeniem jubileuszowej uroczystości.

5 MINUT WOŻNEGO

Następnego dnia gazety opisywały wydarzenie. „Spotkanie upłynęło w serdecznej i bratniej atmosferze” – pisało „Życie Warszawy”. „Wytyczono nowe kierunki rozwoju” – donosiła „Trybuna Ludu”, nie precyzując, o jaki rozwój chodziło. „Sztandar Młodych” zainteresował

się zaś delegacją jugosłowiańską, poświęcając jej artykuł. Okazało się, że towarzysz Broz Tito wcale nie był taki zły, jak malowała go stalinowska propaganda. Jedną z gazet umieściła wywiady z uniwersyteckimi „ludźmi pracy”. Za gwiazdora robił stary pedel Jan Dudzik, który pracował na UW od 1915 r. Sympatyczny woźny miał swoje 5 minut. Przez całą uroczystość nosił przed pocztm sztandarowym laskę rektorską, w Belwederze dostał resortowe odznaczenie i cieszył się wyjątkowym zainteresowaniem dziennikarzy. W wywiadzie dla „Życia Warszawy” troszkę mało politycznie wychwalał stare czasy, konstatując „dawniej, gdy studenci płacili za czesne, to bardziej się przykładali do nauki”.

Dzień 14 maja 1958 r. był kulminacją obchodów, ale uroczystości trwały jeszcze tydzień. Przez ten czas odbyły się zawody sportowe miejscowych studentów z Uniwersytetem Wrocławskim, sesje naukowe matematyków i prawników, koncert i przedstawienie w Teatrze Dramatycznym (z była studentką UW Niną Andrycz w roli głównej).

Nie wszystko wyszło idealnie. Na obchody nie przybyli najważniejsi w państwie: I sekretarz PZPR Władysław Gomułka i minister obrony Marian Spychalski. Z zaproszenia nie skorzystał też – lubiący takie celebry – premier Józef Cyrankiewicz. Z książką *Universitas Varsoviensis 1808–1918–1958* pod red. Gięsztorza wyraźnie się spóźniono, bo odebrano ją z drukarni dopiero późną jesienią 1958 r. Na czas wyszły *Roczniki UW*, ale na następny tom trzeba było czekać aż 4 lata. W porę ukazała się *Księga protokołów Rady Ogólnej UW 1817–19*. Niestety ta bezcenna dla badaczy książka okazała się tylko jedyną pozycją z zapowiadanego cyklu *Źródeł do historii UW*.

Wzmiankowana wystawa czynna była do końca października 1958 r. Zobaczyło ją 6000 osób. Potem eksponaty powróciły do swoich bibliotek i muzeów, ale pozostawiony scenariusz służył jeszcze kilkakrotnie w kolejnych rocznicowych obchodach. Żadne z jubileuszy nie były jednak tak okazałe, jak ten z maja 1958 r.

Uczestnicy pochodu, który przeszedł przed Pałacem Kazimierzowskim do Auditorium Maximum, 14 maja 1958 r.

L

AURKI I KRYTYKA

Muzeum Uniwersytetu Warszawskiego wzbogaciło się o pastelowy wizerunek Henryka Sienkiewicza, autorstwa Kazimierza Mordasewicza. Darczyńcami portretu są Rosemary i Michał Giedroyciowie. Dzieło to będzie można obejrzeć już wkrótce w Pałacu Tyszkiewiczów-Potockich; w 2016 r. uświetni też ono obchody 100-letniej rocznicy śmierci oraz 170. urodziny autora *Quo Vadis*.

Z OXFORDU DO PAŁACU

Rodzina Giedroyciów wywodzi się z terenów Wielkiego Księstwa Litewskiego. Michał Giedroyc przyszedł na świat w Łobzowie (obecnie obszar Białorusi) w 1929 r. Jego ojca Tadeusza, senatora II RP, zamordowało w 1941 r. NKWD, natomiast matkę z trojgiem dzieci zesłano na daleki Sybir. Stamtąd rodzinie Giedroyciów udało się wraz z armią Andersa przedostać do Iraku, skąd po wojnie trafili do Anglii. Michał podjął studia na Wydziale Lotnictwa na Uniwersytecie w Southampton. Swoją żonę Rosemary poznał w roku 1958. W 1979 r. rodzina Giedroyciów na stałe osiadła w Oxfordzie. Na tamtejszej uczelni, w Oriol College, Giedroyc podjął badania na temat wczesnej państwowości litewskiej oraz historii swojej rodziny. Zasłynął także z projektu finansowego, ratującego Oxford Union – jeden z najbardziej poważanych i wpływowych uniwersyteckich klubów dyskusyjnych na świecie. Za swoje wysiłki na rzecz Uniwersytetu w Oxfordzie oraz pracę naukową w 1989 r. nagrodzony został zaszczytnym tytułem *Master of Arts honoris causa*. Dwa lata temu na polskim rynku ukazała się powieść Giedroycia *Na krawędzi krateru*, będąca formą rodzinnych wspomnień z czasów wojny.

MAŁŻEŃSKI PREZENT

Portret Sienkiewicza, autorstwa Mordasewicza, znalazł się w zbiorach Giedroyciów za sprawą Rosemary. Nabyła go w prezencie dla swojego męża Michała od rodziny Sikorskich w 1974 r. Po wielu latach Giedroyciowie zdecydowali się przekazać ten niezwykle wizerunek ojczyźnie pisarza. Ofiarodawcy pragnęli jednak, by dar znalazł się w muzeum, które zapewni jego prezentację na wystawie stałej. Szczęśliwym trafem w tym czasie kontakt z Michałem i Rosemary Giedroyciami nawiązał Tomasz Herbich z IAI PAN w Warszawie, którego rodzina jeszcze przed II wojną światową znała się z rodziną Giedroyciów. Zasugerował on podarowanie portretu jednemu z warszawskich muzeów. Początkowo rozważano podjęcie rozmów z dużymi, stołecznymi muzeami, tj. Narodowym lub Literatury, istniało jednak duże prawdopodobieństwo, że nie spełnią one głównego warunku darczyńców.

Punktem przełomowym okazało się spotkanie Tomasza Herbicha z dr. hab. Tadeuszem Bernatowiczem, który zasugerował przekazanie dzieła do zbiorów Uniwersytetu Warszawskiego. Pomysł ten został zaakceptowany przez właścicieli. Tym bardziej, gdy zapewniono ich, że portret pisarza będzie wisiał w Pałacu Tyszkiewiczów-Potockich. Po pastel do Oxfordu pojechał dyrektor Muzeum UW, prof. Jerzy Miziołek. Pomocą przy uzyskaniu wszystkich wymaganych zezwoleń związanych z przewozem obrazu służył konsul generalny RP w Wielkiej Brytanii – Ireneusz Truszkowski.

FINEZJA I ELEGANCJA PASTELU

Najwyższy czas przejść jednak do omówienia pastelu i przedstawionej na nim postaci. Dzieło to ma kształt owalny o wymiarach: 39 na 29 cm. Oprawione zostało w drewniane, proflowane ramy. Pisarz ukazany został w pozie trzy czwarte na neutralnym, kremowym tle. Najdokładniej za pomocą delikatnego modelunku i światłocienia uchwycono jego twarz (zwróconą w lewo) ze zmarszczkami i żyłkami na czole, bródkę przyprószoną siwizną oraz brązowe oczy. O wiele bardziej szkicowo potraktowano natomiast ubiór Sienkiewicza; jego marynarkę, białą koszulę i kamizelkę. Podpis artysty *Kaz Mordasewicz 1900* znajduje się u dołu portretu po prawej stronie. Pastel ten, najprawdopodobniej studium do przyszłej akwareli, zdradza niezwykłą poprawność rysunku, finezję i elegancję. Mordasewiczowi znakomicie udało się uchwycić przenikliwe spojrzenie oraz dostojność jednego z najsłynniejszych absolwentów Uniwersytetu Warszawskiego. Henryka Sienkiewicza przyjęto na Wydział Prawa w roku 1866, czyli w czasie kiedy warszawska uczelnia funkcjonowała pod nazwą Szkoła Główna. Naukę rozpoczął jednak na Wydziale Lekarskim – zgodnie z życzeniem rodziców. Na medycynę uczęszczał tylko trzy miesiące, by ostatecznie trafić na Wydział Filologiczny. Podczas studiów przyszły noblista mieszkał na ul. Siennej, dzieląc pokój z trzema innymi kolegami. Uczelniane lata nie należały do najłatwiejszych w jego życiu. Nie mógł liczyć na pomoc finansową z domu i wielokrotnie głodował. Jego sytuacja materialna poprawiła się

dopiero, gdy uzyskał pracę guwernera u rodziny Woronieckich na Bielanach. Na okres studiów przypadły też jego debiuty literackie. Artykuły Sienkiewicza zaczęły pojawiać się w „Przeglądzie Tygodniowym” oraz „Tygodniku Ilustrowanym”. Ze studenckich lat zachowało się też kilka wspomnień o młodym pisarzu, jednak żadne z nich nie zapowiadało jego talentu i sukcesu. Aleksander Świętochowski, znajomy Sienkiewicza z uczelnianych ław, opisywał go następującymi słowami: „Wątlý, chorowity, w audytorium rzadko widziany, w życiu studenckim nie przyjmujący żadnego udziału, przed egzaminami mocno zakłopotany i na uboczu trzymający się, zwracał na siebie tak słabą uwagę kolegów”. Warszawską uczelnię opuszcza Sienkiewicz w 1871 r. (już po przemianowaniu jej na Uniwersytet Carski), niestety bez zdania egzaminów końcowych. Do uzyskania dyplomu zabrakło mu jedynie egzaminu z greki.

SIENKIEWICZ Z WIELU PERSPEKTYW

Powracając do pastelu, nadszedł czas na przedstawienie autora tego dzieła. Kazimierz Mordasewicz urodził się w Mińsku w 1859 r. Już od najmłodszych lat przejawiał niebywale zdolności do rysunku. Zanim w pełni rozwinął swój talent artystyczny, jako nastolatek wstąpił do Korpusu Kadetów w Moskwie, a potem do Szkoły Oficerskiej. Brał nawet udział w wojnie turecko-rosyjskiej w 1877 r. Kariera wojskowa nie była mu jednak pisana. Wiele bardziej od „szabli pociągał go pędzel”. Niezwykle poetycko przemianę Mordasewicza opisał Władysław Grabski w „Kurierze Warszawskim” z 22 stycznia 1899 r.: „Jego Roma Cezarów nie upajała swym blaskiem. On kochał Rzym, ale ten Rafaela i Michała Anioła”. Przełomowym momentem w jego życiu było zapisanie się w 1881 r. do warszawskiej Szkoły Rysunkowej. Instytucja ta, początkowo znana pod nazwą Klasa Rysunkowa, została założona w 1865 r. w miejsce zamkniętej po upadku powstania styczniowego Szkoły Sztuk Pięknych. Za sprawą jej głównego nauczyciela Wojciecha Gersona, niezwykle silnie oddziałującego swoją osobowością, talentem oraz zdolnościami pedagogicznymi na uczniów, nazywano ją potocznie także jego nazwiskiem. Drugim, wybitnym artystą w tej Szkole był Aleksander Kamiński. Pod ich skrzydłami Mordasewicz nie tylko rozwinął swój talent, ale nauczył się, że wrodzony dar musi być zawsze poparty ciężką i sumienną pracą. Po dwunastu miesiącach wyteżonych studiów Mordasewicz wyjechał do petersburskiej Akademii Sztuk Pięknych, gdzie w ciągu kilku lat nauki przyznano mu wiele nagród i odznaczeń, m.in. złoty medal za obraz *Chrystus uzdrawiający ślepych*. W byłej stolicy Rosji dostąpił także zaszczytu portretowania cara Aleksandra II i jego żony. Po studiach nad Nową rozpoczęła się dla artysty okres wędrówek po Europie. Dotarł do najświetniejszych muzeów i kościołów Włoch, Francji, Niemiec i Hiszpanii, gdzie kopiował dzieła dawnych mistrzów lub szkicował wnętrza

Wizerunek Henryka Sienkiewicza, autorstwa Kazimierza Mordasewicza z 1900 r.



słynnych świątyń (np. kościoła Il Gesu). Na Półwyspie Iberyjskim zachwyciło go przede wszystkim malarstwo Velasqueza, Zurbarana i Murilla. Do Warszawy powrócił w 1896 r. jako uznany malarz, głównie portrecista. Swoje prace wystawiał w Towarzystwie Sztuk Pięknych Zachęta i w Salonie Krywulta. Podczas swojej kariery z wielkim powodzeniem odtwarzał na podstawie dagerotypów wizerunki, m.in.: Adama Mickiewicza oraz Juliusza Słowackiego. Wielokrotnie malował też portrety Fryderyka Chopina. Jeden z nich – kopia niezachowanego olejnego obrazu Antoniego Kolberga, znajduje się dziś w zbiorach Muzeum w Żelazowej Woli. Mordasewiczowi pozwali Eliza Orzeszkowa, Stefan Żeromski, Irena Solska, a w ostatnich latach życia w Paryżu także Maria Skłodowska-Curie oraz marszałek Ferdinand Foch. Spod ręki tego artysty wyszło również kilka portretów Henryka Sienkiewicza. Wizerunki autora *Trylogii* i *Krzyżaków* Mordasewicz wykonywał kilkakrotnie pomiędzy 1899 a 1916 r. Do dziś w Muzeum Narodowym w Warszawie znajduje się portret olejny Sienkiewicza, zreprodukowane rysunki z portretami pisarza można odnaleźć w wydawnictwie *Sami Sobie* (1900) oraz w *Biesiadzie Literackiej* (1900). Kilka lat temu wizerunki Sienkiewicza autorstwa Mordasewicza pojawiły się także na rynku antykwarycznym. W zbiorach Biblioteki Narodowej w Warszawie zachował się też list malarza do publicyisty i redaktora *Biesiady Literackiej*, Władysława Meleszewskiego, zawierający prośbę o pomoc w zorganizowaniu spotkania z Sienkiewiczem w celu wykonania jego portretu: „Miałby



Wystawa ku czci H. Sienkiewicza, która odbyła się w Pałacu Tyszkiewiczów-Potockich, 1937, zbiory NAC

Pracownia Kazimierza Mordasiewicza w Warszawie, zbiory Instytutu Historii Sztuki PAN



więc Sz. Pan zechciał się zobaczyć z Sienkiewiczem i jeśli on nie jest pracujący, to może by się dał namówić na parę posiedzeń do zrobienia szkiców. Od razu prawdopodobnie go nie upożuje. A już wcześniej poznam tem do następnych posiedzeń będzie korzystniej, bo w myśli pozę się opracuję... Jeśli w niedzielę nie będę miał przyjemności zobaczenia Szanownego Pana, to może listownie łaskawy Pan mnie zawiadomi o wynikach spotkania z Sienkiewiczem”.

Liczne wzmianki poświęcone Sienkiewiczowskiemu portretom Mordasewicza można także odnaleźć w przedwojennej prasie. Znany warszawski krytyk, Feliks Słupski, w czasopiśmie „Rzeczy Ciekawe” (1924, nr 2) napisał: „Tam jednak, gdzie mu zostawiono swobodę pojęcia i wykonania pracy, gdzie go nie kępowano wymaganiami, gorzej niż urojonami – rezultaty bywały niezwykle dobre. Stwarzał wtedy ludzi żywych, jak Kamiński, Świętochowski, Orzeszkowa.... I z Sienkiewicza portretów – dwa doskonałe”. Nie wszystkim recenzentom wizerunki Sienkiewicza autorstwa Mordasewicza przypadły jednak do gustu. Dla przykładu Kazimierz Daniłowicz-Strzelbicki w „Wędrowcu” z 1900 r. pisał: „Widziałem w Salonie Tow. Zachęty portrety Sienkiewicza pędzla Mordasewicza... Akwarelowy portret Sienkiewicza twardy i brzydki w tonie, źle rysowany surowy po prostu; kiedy się pomyśli, że obok jest świetny portret tegoż pisarza, rysowany pastelą przez Wyczółkowskiego, dziwi odwaga Mordasewicza i chęć wystawienia swej niedołęznej pracy obok tak świetnego portretu”. Ocena Daniłowicza-Strzelbickiego wydaje się zdecydowanie zbyt surowa. Owszem, Mordasewiczowi zarzucano często, że ulega manierze i konwenansom, jednak wartość jego warsztatu artystycznego nie może budzić wątpliwości.

Artysta zmarł tragicznie w Paryżu pod kołami samochodu w 1923 r. Pochowano go na cmentarzu Père Lachaise. Rok później, w gmachu warszawskiej Zachęty odbyła się jego wystawa pośmiertna. W 1937 r. w Pałacu Tyszkiewiczów-Potockich w Warszawie Biblioteka Narodowa zorganizowała ekspozycję ku czci Henryka Sienkiewicza. Pokaz ten był przeglądem dorobku pisarskiego noblisty oraz metod jego pracy. Protektorat nad wystawą objęła marszałkowska Aleksandra Piłsudska, otworzył ją zaś uroczystie prezydent Ignacy Mościcki. W Narodowym Archiwum Cyfrowym zachowało się kilka zdjęć prezentujących Salę Balową dawnej rezydencji Potockich podczas wystawy. Na jednym z nich zauważyć można portret Sienkiewicza, niezwykle przypominający nowy nabytek Muzeum UW. Nasuwa się zatem pytanie, czy oba dzieła – wizerunek z fotografii ze zbiorów NAC-u oraz dar rodziny Giedroyciów – nie są autorstwa tego samego malarza – Kazimierza Mordasewicza?

PREKURSOR FREUDA ANALIZUJE UNIWERSYTET

UNIWERSYTET KRÓLEWSKO-WARSZAWSKI

WE WSPOMNIENIACH Z PRZESZŁOŚCI WIKTORA F. SZOKALSKIEGO

„Rzecz dziwna, że pamięć o Uniwersytecie Aleksandryjskim, który istniał u nas do 1830 roku, jakaś obojętność pokrywa. Historia jego we mgle pogrążona nie znalazła nawet dotąd swojego biografę, i zaci ni jego profesorowie idą w zapomnienie. A jednak instytucja ta położyła ogromne zasługi, wykształciła bowiem kilka tysięcy ludzi, których inteligencją żył kraj w najsmutniejszych swych czasach. Aż do roku 1860”. Tak pisze w swoich niemal zapomnianych obecnie, spisanych w 3. ćwierci XIX wieku, *Wspomnieniach z przeszłości* Wiktor F. Szokalski, jeden z wybitniejszych uczniów naszej uczelni. Od tamtych czasów pierwszy Uniwersytet Warszawski, który oficjalnie nazywano Uniwersytetem Królewsko-Warszawskim, a w ostatnich latach jego funkcjonowania Uniwersytetem Aleksandryjskim (od imienia Aleksandra I) już dawno wyszedł z cienia obojętności i doczekał się kilku „biografii”, ale jego ogromna rola w nauce i kulturze polskiej wymagają nie tylko ciągłego przypomnienia, ale i dalszych badań. Konieczna jest również dobrze opracowana, dostępna także online, antologia tekstów źródłowych dotyczących tegoż pierwszego Uniwersytetu Warszawskiego. Wśród tych tekstów powinny się znaleźć obszerne fragmenty fascynujących *Wspomnień* Szokalskiego, które są przedmiotem niniejszych uwag. Dzięki nim możemy się ogromnie wiele dowiedzieć o życiu Uniwersytetu, jego profesorach i uczniach w latach poprzedzających powstanie listopadowe i w czasie jego trwania. Narracja Szokalskiego jest na wskroś nowoczesna; dobrze skonstruowana, pełna ciekawostek, anegdot i humoru, ale też niezwykle trafnych obserwacji i przemyślanych refleksji. Dowiadujemy się z niej m.in. o nieznanym faktach z uniwersyteckich sal wykładowych (np. o tym, że profesor chemii Adam M. Kitajewski był znakomitym wykładowcą, a profesor zoologii Feliks P. Jarocki ogromnym nudziarzem), o sprawie sądowej pomiędzy pewnym profesorem a jego studentem i nawet pewnym szczególe z życia młodego Fryderyka Chopina. Szokalski pisze też ciekawie o Liceum Warszawskim, jego profesorach, poziomie nauczania i o tym, jak przybiegając na wykłady – czy to z domu w Marywilu (na jego miejscu znajduje się obecnie Teatr Narodowy – zwany Wielkim), czy z Jezuickiej –



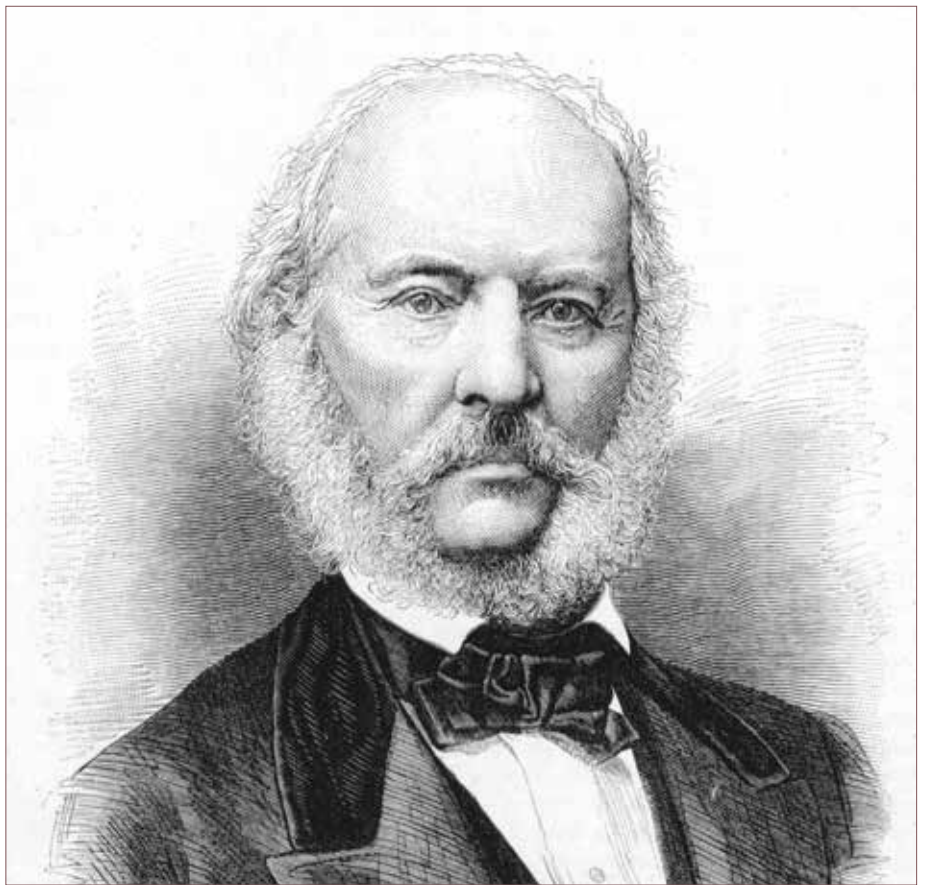
Prof. Adam M. Kitajewski

skracał sobie drogę, idąc przez „furtkę” w oficynie pałacu Tyszkiewiczów-Potockich.

RES GESTAE SZOKALSKIEGO

Autor *Wspomnień* był synem Antoniego Szokalskiego i Justyny z Rogozińskich. Pobierał nauki w liceum pijarskim w Warszawie, ale z czasem przeniósł się do Liceum Warszawskiego ulokowanego wraz z Uniwersytetem w Pałacu Kazimierzowskim i w budynkach do niego przyległych. W 1827 roku podjął studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Królewsko-Warszawskiego. Z siedziby tegoż wydziału przy ulicy Jezuickiej często przybiegał na wykłady ogólnouniwersyteckie, m.in. na słynne prelekcje prof. Ludwika Osińskiego, ale też na wykłady Kitajewskiego i innych wykładowców, co znalazło odbicie w jego *Wspomnieniach*. Gdy był na czwartym roku studiów wybuchło powstanie, w którym wziął udział. Był żołnierzem uniwersyteckiej Gwardii Honorowej, a następnie pod lekarzem (nie posiadał jeszcze wówczas dyplomu). Za swoje zasługi i waleczność został odznaczony Złotym Krzyżem Virtuti Militari. Po upadku powstania wyemigrował i odbył dodatkowe studia medyczne w Gießen, Heidelbergu i Würzburgu. Następnie spędził wiele lat we Francji, z której w 1853 roku powrócił do Warszawy, gdzie leczył, prowadził badania naukowe i dużo pisał. Zdziwiający jest

Prof. dr hab. Jerzy Miziołek jest kierownikiem Zakładu Tradycji Antyku w Sztukach Wizualnych w Instytucie Archeologii. Od 2010 pełni funkcję dyrektora Muzeum UW.



Dr Wiktor Szokalski, według
fotografii Mieczkowskiego,
„Tygodnik Ilustrowany”
nr 189, 1871 r.

zasięg twórczości naukowej Szokalskiego. Obok prac ściśle medycznych, spotykamy wśród jego przeszło 200 publikacji prace z historii medycyny, towarzystw lekarskich, higieny, okulistyki. W latach 1861–1863 opublikował w dwóch tomach monumentalną, liczącą blisko tysiąc stron, książkę *Fantazyjne objawy zmysłowe* (t. 1: *Sny, widma i przywidzenia*; t. 2: *Senne marzenia*), która pozwala zaliczać go do prekursorów koncepcji nieświadomości, wyprzedzających idee Zygmunta Freuda. Ostatnie jego dzieło nosi tytuł *Początek i rozwój zmysłowości w przyrodzie* (1880). Józef Bieliński zaliczył Szokalskiego do „najznakomitszych wychowanków Królewskiego Uniwersytetu Warszawskiego”. Jednym z najcenniejszych jego dzieł są dwutomowe, dziś ogromnie rzadkie i niestety pozbawione aparatu naukowego *Wspomnienia z przeszłości*, opublikowane w Wilnie w 1921 roku.

O ALEKSANDRZE I I KSIĘCIU KONSTANTYM

Każdy badacz dziejów UW wie, że uczelnia ta planowana już w czasach Stanisława Augusta i wreszcie tworzona od 1808, kiedy to powstała Szkoła Prawa (kształciła ona więcej studentów niż cały ówczesny Uniwersytet Jagielloński), jest dziełem Stanisława Kostki Potockiego, Stanisława Staszica i grupy ich przyjaciół oraz współpracowników. Niemniej jednak pod aktem fundacyjnym z 1816 roku podpisał się Aleksander I, car Rosji i jednocześnie król Polski. Ten „najlepszy z carów” został niezwykle ciekawie przez Szokalskiego opisany. Dlatego też warto tu przytoczyć stosowny fragment z jego dzieła. „Zapatrując się – pisze Szokalski – bez uprzedzenia na konstytucję, jaką nas obdarzył, przywracając Królestwo, Aleksander I-szy,

przyznać musimy, że była ona bez porównania więcej owocem teoretycznego liberalizmu, aniżeli środkiem, mającym zaspokoić rzeczywiste potrzeby narodu. Była ona niezaprzeczenie o wiele liberalniejszą, aniżeli tego wymagała konieczna potrzeba, i zamiast nam dać rząd silny, opiekuńczy, uczciwy i postępowy, otworzyła obszernie wrota do nieporozumień ze strony narodu i do lekkomyślnej opozycji, a ze strony rządu – do podstępnej szacherki. W charakterze cesarza Aleksandra istniały dwa przeciwne sobie kierunki: samowładny i liberalny, nie mogące ze sobą przyjść do porozumienia. Urodzony jako samodzierżawca prawie połowy świata, z wolą nieograniczoną robienia wszystkiego, co mu się podoba, stanął na stanowisku pół-boga na ziemi, i trudno jest, ażeby tradycyjnie nie spoglądał z góry na wszystko, co go otaczało, ażeby nie czuł się panem i poddanych swoich nie uważał za niewolnicze narzędzie swej samowoli. Wychowanie pod wpływem filozofa i literata genewskiego Laharpa i wpływy obu Czartoryskich Adama i Konstantego, przyjaciół jego młodości, postawiły go w opozycji z babką [carycą Katarzyną] i ojcem [Pawłem I], i zrobiły zeń liberała, hołdującego ideom rewolucji francuskiej. [...] Lecz zaraz po ogłoszeniu konstytucji spostrzegł się młody monarcha, że związał nią swoją absolutną władzę i sam na siebie nałożył pęta [...] Przyznał Konstantemu stanowisko swego alter ego, mającego reprezentować w Królestwie nieograniczoną monarszą władzę. Obok konstytucyjnego mieliśmy zatem rząd absolutny, i to jeszcze w osobie człowieka, jak najmniej do rządzenia zdolnego. Był to dziwny rzeczywiście człowiek. Urodzony autokrata, jak panujący brat jego; ale o ile tamten był łagod-

nym, ujmującym i wyrozumiałym, o tyle ten był dzikim, popędliwym, niemal drapieżnym, nie uznającym nad sobą żadnego hamulca”.

Trudno byłoby się pokusić o bardziej wnikliwe obserwacje niż te, przedstawione przez Szokalskiego na temat obydwu braci, którzy wywarli jakże ogromny wpływ na losy Uniwersytetu. Przypomnijmy, że książe Konstanty ciągle wtrącał się w życie uniwersyteckie, a ponieważ uczonych nie lubił, więc kontakty z nim były niezwykle trudne, o czym pisano już niejednokrotnie. Nie cierpiał on też Stanisława Staszica, czemu nieraz dawał wyraz i może właśnie dlatego pogrzeb tego uczonego męża i współtwórcy Uniwersytetu, w lutym 1826 roku, był ogromną manifestacją patriotyczną, znaną także z jednego listu Chopina, którą Szokalski znakomicie opisał. Na pogrzeb-manifestację książe Konstanty wysłał cały zastęp donosicieli, co autor *Wspomnień* również odnotował.

POGRZEB „SZANOWNEGO MĘŻA”

I NAPIĘTNOWANIE DONOSICIELA

„Ze 20 tysięcy ludzi – pisze Chopin – aż do miejsca [na Bielany] ciało [Staszica] odprowadzało. Kilka walnych przez drogę odbyło się pyskowych potyczek, już to z kupcami, którzy się dobijali nieść zwłoki Szanownego Męża, już to z innymi cywilnymi osobami, które również mężnie opierającym się Akademikom trumnę odebrać chciały”.

Oprócz „pyskowych potyczek” zdarzyło się na tym pogrzebie coś, co uzmysławia nam z całą siłą atmosferę tamtych czasów, w których donosiciele byli obecni niemal na każdym kroku. Tragikomiczną przygodę jednego z nich opisał właśnie Szokalski: „Ponieważ w życiu tak, jak w dramatach Szekspira, poważne i komiczne miesza się w jeden zupełny obraz, a więc i na pogrzebie Staszica przytrafiło się zdarzenie, które nam potem śmiać się dozwalało. Uwijał się wówczas łotr wielki, szpieg, podlec, ajent policji tajnej Szymanowski, który, ufny wyższej protekcji, bezczelnie wszędzie się wkręcał. Otóż i on przyszedł na pogrzeb i wmieszał się między młodzież w pochodzie do Bielan. Wtedy, jakby dla rozgrzania się przy końcu bardzo wydłużonego orszaku, zaczęto śniegiem na siebie rzucać, chociaż jemu najwięcej dostawały się kule, a gdy, niby niechący przyparty do brzegu wyniosłej drogi, runął do rowu, zasypano go śniegiem; a co mu się kijów przytem dostało, to Bogu tylko wiadomo. Wylazł naostatek, jak z budy, a gdy się otrząsał i skarżył, powiedziano mu, że się nie zna na żartach, i pytano naiwnie, czy mu teraz ciepło. Wkrótce potem w nagrodę za jego gorliwość książe dał mu order Ś-go Stanisława III klasy, z ogromnem oburzeniem całego miasta. Akademicy postarali się o dużego psa, umyślnie ze wsi przywiezionego i, przymocowawszy mu do karku tekturowy order, napisali pod nim, że kiedy go Szymanowski otrzymał, to i on, Azor, może go nosić. Policja goniła psa po mieście z wielką uciechą patrzących się na

to, nareszcie złapano go i głodzono w nadziei, że do domu powróci i że się tym sposobem na ślad winowajcy natrafi. Pies, jako zamiejski, omylił wszelkie nadzieje”.

Niedługo po tych wydarzeniach powstał wiersz, który nie pozostawia wątpliwości co do tego, jak bardzo nieszczęsny donosiciel był zniechęcony w Warszawie:

„Szymanosiu, cny człowieku,
Coś wszystkie zwiedzał ulice,
Jeszcze jesteś w sile wieku,
Żwawo, marsz na szubienicę”.

O TWÓRCY POLSKIEJ SZKOŁY CHEMII,

WYKŁADACH JAROCKIEGO

I PROCESIE WYKŁADOWCY ZE STUDENTEM

Przychodzi wreszcie czas, by z autorem *Wspomnień z przeszłości* przyjrzeć się wykładowcom uniwersyteckim i niektórym ich słuchaczom. „Najlepszym wykładem ze wszystkich – pisze Szokalski – był wykład chemii Kitajewskiego, przy którym Belza był asystentem. Uczęszczali też z wielką przyjemnością na niego. Kitajewski był to człowiek jeszcze młody, nauce oddany, pięknie i jasno się wysławiający. Ponieważ była to epoka, w której rozpowszechniano już na zachodzie fabrykację cukru z buraków, zaczynała i nas ona interesować. Kitajewski więc wykladał kurs publiczny, bezpłatnie, dla obszernej publiczności o cukrownictwie, sądząc, że tem bardzo ją zainteresuje. Omylił się bardzo, bo fabrykację cukru u nas powszechnie miano za dziwactwo. Na prelekcje owe prywatne, objaśniane pięknymi okazami fabrykacji, uczęszczało zaledwie kilkanaście osób, w liczbie których może najpilniejszymi były ja i mój ojczym Kowszewicz, który do tego stopnia zapalił się do cukru buraczanego, że sam go nawet chciał robić, tylko przeciwko temu stanęła moja matka, jako gospodyni domu, a potem brak cukrowych buraków. Odtąd fabrykacja cukru miała w nas obu apostołów najgorliwszych”. W uzupełnieniu wspomnień Szokalskiego należy dodać, że gabinet chemiczny i mieszkanie Kitajewskiego znajdowały się w budynku Centrum Informatycznego.

Warto tu jeszcze nadmienić, że prawdziwym „apostolem” cukrownictwa był przyjaciel Chopina – Tytus Woyciechowski. Czy Chopin widział w czasie wizyty u Tytusa w Poturzynie pola buraków cukrowych i cukrownie? Wiemy, że Woyciechowski posiadał na pewno taką cukrownię w 1840 roku. Z wizyty w hrubieszowskim Fryderyk najbardziej zapamiętał nie buraki, a piękną brzozę.

„Prelekcje uniwersyteckie – czytamy dalej we *Wspomnieniach z przeszłości* – niesłychanie mnie zajmowały, oddałem się też im z całym zapalem. Dziekan [Wydziału Lekarskiego]

Roliński rzucał
nam swoje
wykłady suche,
jak wióry

Roliński był to bicz boży. Drobiazgowy pedant, obmierzle systematyczny, wymagający, rzucał nam swoje wykłady suche, jak wióry; i nie dziwota, bo też w tej cmentarnej organizacji nie było ani atomu poezji. [...] Najnudniejszym ze wszystkich był wykład zoologii Jarockiego, bo ten człowiek w zwierzętach oprócz pazurków, zębów, racic, dziobów i tego wszystkiego, co do usystematyzowania gromad, rządów, rodzaj i gatunków służyło, nic innego nie widział. W jego głowie istniały tylko systematyczne kratki i do ich wypełnienia zoologiczny materiał. Co to jest zwierzę, jak się zachowuje, jak żyje, jak funkcjonuje, jak w szeregach istot organicznych różnego stopnia osiąga godności, o to się nie troszczył wcale.

Narracja
Szokalskiego
jest na wskroś
nowoczesna;
dobrze
skonstruowana,
pełna
ciekawostek,
anegdot
i humoru

Szczegóły, drobiazgi, zewnętrzne cechy, a w głębi nic. Ten człowiek wyziębiał w nas cały do nauki zapał”.

Czy Szokalski nie był zbyt surowy dla Jarockiego, z którym Fryderyk Chopin (nasz profesor był przyjacielem jego rodziny) odbył dwutygodniową wyprawę do Berlina we wrześniu 1829 roku? Czy młody kompozytor z kimś tak nudnym i pozbawionym wyobraźni mógłby spędzić całe dwa tygodnie? Nie usłyszymy niestety wykładów Jarockiego, ale możemy zajrzeć do jego wielotomowego dzieła pt. *Zoologia*. Całość wygląda nowocześnie, jak na tamte czasy, a niektóre szczegóły wprost zdumiewają trafnością obserwacji. Z jego prac i artykułów naukowych na uwagę zasługują także opracowania fauny Puszczy Białowieskiej, np. *Zubr oder der lithuanische Auerochs* (1830). Jarocki pisał też artykuły popularnonaukowe i prace literackie, które ogłosił w dwóch tomach w 1830 roku pt. *Pisma rozmaite wierszem i prozą*. Jest też wreszcie autorem bezcennej *Kroniki Pałacu Kaźmierowskiego* (1812–1846).

Jeśli nawet Szokalski, jako student medycyny zainteresowany zapewne specyficzną tematyką, musi być traktowany z pewną dozą ostrożności, to jednak pozostaje dla nas niezwykle ważnym źródłem informacji. To właśnie jego *Wspomnienia z przeszłości* pozwalają nam zrozumieć pewien enigmatyczny passus z listu Chopina do Jana Matuszyńskiego z 26 grudnia 1830 roku, w którym czytamy: „Odebrałeś kartkę? Pewno sobie nic z mojego pisma nie robisz, boś w domu; ale ja czytam i czytam list Twój bez końca. Freyer był u mnie parę razy (choć ja u niego ani razu być jeszcze nie mogłem); dowiedział się od Schucha, że jestem w Wiedniu. Stoi razem z Rostkowskim (zdaje mi się, że tak się zowie ten od rządu wysłany młody człowiek, co z Rolińskim miał proces). Opowiadał mi mnóstwo interesujących szczegółów z ostatnich czasów, cieszył się z Twego listu, który mu aż do pewnego

periodu do czytania dałem”. „Młody człowiek” to Teodor Rostkowski, student Wydziału Lekarskiego, który stał się uczestnikiem jedyne w swoim rodzaju procesu w murach Uniwersytetu. „Dziekan [Marcin] Roliński – pisze Szokalski – ów cmentarny grabarz z wykrzywioną gębą, o którym wspomniałem powyżej, miał syna trzynastoletniego ladaco. Otóż wybrał dla niego za gubernera Rostkowskiego, studenta z piątego medycznego kursu. Przyznać trzeba, że nie mógł wybrać gorzej, gdyż Rostkowski był to letkiewicz i szafawiła. Wychowaniec i gubernier porozumieli się ze sobą i na koszt dziekana zaczęli się bawić razem na dobre. Wszystko to było niczem jeszcze, ale gdy gubernier zaczął się zabierać do młodej gospodyni dziekana, wtedy dziekan wypędził go z domu i poprzysiągł zemstę, na którą nie czekał długo, bo, gdy Rostkowski miał do ostatecznego egzaminu przystąpić, dziekan zeznał wobec fakultetu, iż Rostkowski w jego obecności miał powiedzieć, że w razie potrzeby, gdyby mu dobrze zapłacono, nie wahałby się ani chwili życie chorego skrócić. Oskarżenie takie, z ust naczelnika fakultetu wychodzące i zapisane do protokołu posiedzenia, nie mogło ująć płazem. Postanowiono zatem wstrzymać egzamin aż do usprawiedliwienia się, a Rostkowski, nie mogąc, czy nie chcąc inaczej się bronić, wytoczył dziekanowi kryminalny proces o dyfamację. Sędzią śledczym w tej sprawie został Raciborski, dobrze znany w Warszawie, jako zdolny prawnik; że zaś pan sędzia miał syna, zapisanego w poczet młodzieży medycznego fakultetu, podmówiono tegoż, ażeby stanął do konkursu i ubiegał się w tym roku o medal złoty za rozprawę i preparat z anatomii. Zadanie było bardzo trudne, lecz Roliński i jego pomocnicy dopomagali ubiegającemu się o nagrodę Raciborskiemu, więc otrzymał ją w mej przytomności na dorocznym posiedzeniu publicznym Uniwersytetu w r. 1830. Był to ten sam Raciborski, który później odznaczył się, jako biegły lekarz w Paryżu podczas emigracji. Winszowaliśmy mu medalu z szyberskim uśmiechem, a on nam dziękował zmieszany. W jaki sposób byłaby się skończyła skandaliczna Rolińskiego sprawa przewidzieć trudno; szczęściem, że jej powstanie listopadowe położyło koniec”.

W czasie powstania nasz student medycyny niejako pojednał się z wykładowcą, który wcześniej tak go irytował: „Z naszym dziekanem Rolińskim – relacjonuje Szokalski – miałem także dość ciekawą sprawę. Powiedziano nam, że stary tak się rewolucji przelał, iż zabarykadował się w swym domu z obawy, ażeby go nie zabito. Naśmieliśmy się z tego ja i Greuvé serdecznie, lecz postanowiliśmy go odwiedzić. Nie łatwo nam przyszło dostać się do niego, ale widocznie nasze odwiedziny sprawiły mu przyjemność, bo wreszcie dał się namówić i wyszedł z nami na miasto. Dziwił się niezmiernie nowej

jego fizjonomji. Przeszedłszy z nami aż do ogrodu Botanicznego i na powrót, tak się ośmielił, widząc, że nikt na niego nie zwraca uwagi, że radość tryskała mu z oczów i dziękował jak najserdeczniej za nasze odwiedziny. Odtąd widziano go samego na ulicach, a co się później z nim stało, nie wiem, gdyż go nie widziałem już więcej”.

Roliński przeżył powstanie listopadowe i w przeciwieństwie do Szokalskiego nie wyjechał z kraju. W 1832 roku wraz z innymi dziekanami Uniwersytetu pisał petycję w celu zachowania w Warszawie ksiązek naukowych. Bezwzględny despotą, jakim był car Mikołaj I, pozostał nie wzruszony także na jego prośby.

O CHOPINIE, BLANKU I ROGOZIŃSKIM

Badaczom życia Chopina z czasów, gdy mieszkał w murach Uniwersytetu, znana jest sprawa z lutego 1826 roku dotycząca jego stłuczonej nogi, używanych w związku z tym kul, które z czasem, zapewne w maju tego samego roku, oddał permanentnie choremu malarzowi Antoniemu Rogozińskiemu. Dzięki pamiętnikowi Szokalskiego możemy dziś bez cienia wątpliwości powiedzieć, że wspomniane zwichnięcie nogi było dość poważne i Fryderyk musiał rzeczywiście chodzić o kulach. Ponadto lektura pamiętnika wydobywa z cienia zapomnienia jeszcze jednego uniwersyteckiego kolegę Fryderyka i dostarcza mało znanej wypowiedzi o nim samym: „Biedny pan Antoni – pisze Szokalski – zapadał co roku na kilka miesięcy na swój utrapiony artretyzm, który mu powykręcał nogi tak, że musiał na kulach chodzić [...]. Roboty jego malarskie miały swą wartość. Portrety bardzo były nawet poszukiwane. [...] Był zaprzyjaźniony z Blankiem, któremu częściej zawsze oddawał, jako swemu profesorowi, oraz z rodziną Chopinów, i cuda nam opowiadał o młodziutkim wirtuozie, wchodzącym wtedy właśnie na scenę. Ojciec Chopin, ożeniony z Polką, pozostał u nas z czasów francuskich i żył się ze społeczeństwem naszym. Był bardzo szanowanym profesorem języka francuskiego w Liceum w Warszawie. Młody Chopin wątły, słabowity chodził do Liceum [...] Było to bardzo skromne i dobre dziecko”.

WYPOWIEDZI SZOKALSKIEGO I SKARBKA O UNIWERSYTECIE

Wróćmy teraz do tego fragmentu *Wspomnień z przeszłości*, od którego zaczęliśmy. Kontynuując swoją myśl o Uniwersytecie Szokalski pisze: „W ścisłym znaczeniu Uniwersytet Warszawski Aleksandryjski nie był uniwersytem, ale był szkołą główną, wedle późniejszej nazwy Wielopolskiego. Nie posiadał on ani jednej naukowej znakomitości, ale posiadał wielu doskonałych nauczycieli, znających swe posłannictwo i starających się jak najsumienniejszym uczynić mu zadosyć. Tacy, jak Brodziński, Frączkiewicz, Skarbek, albo nawet Osiński, nie powinni iść w zapomnienie, kraj im bowiem

zbyt wiele zawdzięcza”.

Czy Uniwersytet rzeczywiście nie posiadał ani jednej naukowej znakomitości? Nie ulega wątpliwości, że nasz medyk, który swoimi własnymi badaniami zapowiadał niejako Zygmunta Freuda, jest nieco zbyt krytyczny. Na szczęście żaden z wymienionych przez Szokalskiego wykładowców (z wyjątkiem może Augustyna Frączkiewicza, matematyka, autora książki *O gnomie analitycznej*) nie poszedł w zapomnienie.

Dla zrównoważenia przytoczonej opinii o Uniwersytecie przywołajmy punkt widzenia Fryderyka Skarbka, profesora ekonomii Uniwersytetu Królewsko-Warszawskiego: „Uwagi godnym jest to – pisze Skarbek – że do 35 katedr [uniwersyteckich] od razu ustanowionych, nie sprowadzono ani jednego profesora z zagranicy, lecz obsadzono je bądź krajowcami, bądź cudzoziemcami, od dawna w nim osiadłymi, którzy wszyscy dali się poznać ze zdolności swoich w zawodzie nauczycielskim, już to w seminariach, już to w szkołach prawnej i lekarskiej, o jakich wyżej wzmiankowałem, już to wreszcie w innych zakładach naukowych w kraju. Zaznaczyć także i to należy: że w późniejszych nawet czasach, pomimo rozszerzenia zakresu wykładanych w uniwersytecie nauk, mało bardzo posiłkowano się uczonymi zagranicznymi, bo ich tylko trzech do języków starożytnych i wschodnich sprowadzono, a ubytek jaki przez śmierć lub oddalenie się profesorów następował, zapelniano zawsze krajowymi uczonymi, w końcu zaś uczniami przez sam uniwersytet już wykształconymi. Niewiele było wszechnic, nawet między niemieckimi, które by miały tak obszerny zakres we wszystkich gałęziach nauk i umiejętności jak Uniwersytet Warszawski”.

Bez względu na to, jak ocenimy przytoczone tu fragmenty *Wspomnień* Szokalskiego wraz z *Pamiętnikiem* Skarbka i wspomnieniami Aleksandra Jełowickiego, Kazimierza W. Wójcickiego i wielu innych uczniów naszej uczelni z pierwszego okresu jej istnienia, powinny one trafić do wspomnianej na wstępie antologii, opatrzonej portretami wszystkich autorów zebranych tekstów. Dzięki niej będzie nam o wiele łatwiej uświadomić sobie, jak ogromną rolę – pomimo zaledwie 20 lat istnienia – odegrał Uniwersytet Królewsko-Warszawski w dziejach nauki i kultury polskiej.

Niewiele było wszechnic, nawet między niemieckimi, które by miały tak obszerny zakres we wszystkich gałęziach nauk i umiejętności jak Uniwersytet Warszawski

Tacy, jak Brodziński, Frączkiewicz, Skarbek, albo nawet Osiński, nie powinni iść w zapomnienie, kraj im bowiem zbyt wiele zawdzięcza

„KRONIKA
PAŁACU
KAŻMIEROWSKIEGO
Z 34 OSTATNICH LAT
1812-1846”

Feliksa Pawła
Jarockiego

część 8

OSTATNIA

Szkoła Główna,
pocztówka,
przełom XIX/XX w.

KLASYCZNE WZORCE RODEM Z GRECJI

CAMPUS UNIWERSYTECKI W LATACH 1840-1846
I UTWORZENIE SZKOŁY SZTUK PIĘKNYCH

„W roku 1840 zaraz z nadejściem wiosny Generał Okuneff Kurator Okr. Na: War. zarządziwszy stosowną restaurację pierwszego piętra w lewym pawilonie pałacu Kazimir[owskim], oddzielone od Komissyi Rządowej S.[praw] W[ewnętrznych] D.[uchowych] i O.[świecenia] P.[ublicznego] biuro Okręgu Naukowego z pałacu Mostowskich do niego przeprowadził i przyzwoicie w potrzebne sprzęty uposażył.

W roku 1841 zarządził Kurator w Dziedzińcu dwie wielkie fabryki. 1° Tak zwany Gmach Chemiczny przerobiono na mieszkanie dla Kuratorów, zmieniawszy w nim rozkład wewnętrzny zupełnie przedłużwszy o trzy okna ku stronie północnej i węgiel wschodnio północny na pierwszym piętrze zamieniwszy w wiszący, oszklony, z dołu ogrzewany balkon. – Przez wyrzuconą z pod fundamentów ziemię rozszerzono, w tej stronie na kilka łokci powierzchnię góry. 2° Na południowej stronie dziedzińca wymurowano wielki jednopiętrowy kosztownie i ze znajomością rzeczy urządzony gmach na Gimnazjum Realne którego następnie Laboratoria Chemiczne Kurator

tak bogato i przytomnie machinami uposażył, jakich b.[yły] Uniwersytet Warszawski ani Szkoła Politechniczna nie miały. W roku 1842. Tak na północnym jak na południowym placu dziedzińca Kazimir[owskiego] urządziwszy Kurator ozdobne klombami posadzone trawniki, kazał wszystkie między nimi między gmachami pozostałe ustępy porządnie zabrukować. To uzupełnienie bruków w całym dziedzińcu Kazimir[owskim] kosztowało 40,000 Złp: W roku 1843. Na wszystkich gmachach Pałacu Kazimierowskiego zaprowadzono po trzy pionociągi z platynowemi kołcami na złożonych końcach pionowych żelaznych prętów.

W roku 1844 z przyczyny zbyt niskości i złego urządzenia ciągle zaciekający cynkowy dach na korpusie został zrzucony, a w miejsce jego wyższy żelazną blachą kryty postawiony. Ponieważ przy tej okoliczności przekonano się że wiązania drewniane kopułę stanowiące były zupełnie spruchniałe, więc usunąwszy ową kopułę na całym korpusie dach zrówniono. W tym roku także na gmachu Mineralogicznym w miejsce dobrze nadpsute go dachówką krytego dachu dano nowy żelazną blachą pokryty. Wybudowano mały drewniany budynek w miejsce północnej strony góry dla stróżów. W miejsce dawnej strażnicy wymurowano nową. Wybudowano mury rezeruaru Gazu przy murze P. P. Wizytek i od niego z wielkim kosztem rozprowadzono pod ziemią rury ołowiane do żelaznych lanych słupów na których ozdobne latarnie osadzono i zaprowadzono w dziedzińcu gazowe oświetlenie, który to gaz przywożono.

W roku 1846 gabinet fizyczny z gmachu Fizycznego przeniesiono na drugie piętro do gmachu Mineralogicznego; a całe wnętrze pierwszego piętra w gmachu Fizycznym przerobiwszy urządzono dla nowo utworzonej szkoły Sztuk Pięknych. Do tego nowo urządzonego lokalu przeniesiono Gabinet Modelów Architektonicznych który dotąd na drugim piętrze gmachu Mineralogicznego trzy sale zajmował”.





Muzeum Starożytności, parter
Pałacu Kazimierzowskiego,
rycina, 1869

W opisywanych w *Kronice* latach czterdziestych XIX wieku na terenie kampusu uniwersyteckiego doszło do kilku istotnych przedsięwzięć w sferze architektury, udoskonalenia nawierzchni i zastosowania oświetlenia gazowego. Dla nowo wprowadzającego się biura Okręgu Naukowego zaadaptowano pierwsze piętro Gmachu Poseminaryjnego. W roku 1841 modyfikacja gmachu chemicznego odmieniła nie tylko budynek, ale także doprowadziła do rozszerzenia skarpy w jej północnej części. W tym samym czasie Antonio Corazzi rozpoczął budowę gmachu Gimnazjum Realnego (obecnie siedziba Instytutu Archeologii UW; w latach 1862-1869 był to główny gmach Szkoły Głównej, stąd jego nazwa). Jarocki pomija milczeniem nie tylko nazwisko włoskiego architekta, ale również – zgodnie z duchem lakoniczności swej *Kroniki* – walory tego dobrze zachowanego budynku. Dla tego należy poświęcić mu nieco uwagi.

Gmach zaprojektowany przez Corazziego, głównie z racji swojego usytuowania, jest niezwykle wydłużony, tak by dorównywał długością skrzydłom Pałacu Kazimierzowskiego (gmachom – Porektorskiemu i Seminaryjnemu). To wydłużenie spowodowało umieszczenie fasady głównej na krótszym boku. Zabieg ten, odrzucający klasycystyczną regułę, stał się ewenementem w polskiej architekturze. Projektując monumentalny budynek szkolny architekt sięgnął po modne klasyczne wzorce rodem z Grecji. Główna fasada przywodzi na myśl antyczną świątynię. Jest ozdobiona tworzącymi rodzaj portyku jońskimi pilastrami w wielkim porządku, z eleganckimi, odkutymi w kamieniu kapitelami; wieńczy ją przyczółek z akroterionem w kształcie palmety. Wszystko to przywołuje ducha architektury ateńskiego Erechtejonu, o czym świadczą również kapitele pilastrów z ornamentem antemionowym i finezyjne jońskie ślimacznice. Także obramienie portalu z jego motywami dekoracyjnymi są wariacją na temat północnego wejścia do słynnej świątyni na Akropolu. W dekoracji pojawia się także fryz meandrowy, będący zapoży-

zieniem m.in. z wnętrza warszawskiego kościoła ewangelicko-augsburskiego. Tympanon gmachu (ciągle pozbawiony akroterionu) zdobi płaskorzeźba przedstawiająca *Arystotelesa w otoczeniu uczniów*, wzorowana na *Szkole Ateńskiej* Rafaela. Dziewięćosobowa grupa skupiona wokół siedzącej pośrodku postaci brodatego starca (obok którego stoi inny starzec wskazujący na niebo, zapewne Platon) została wymodelowana w gipsie przez Ignacego Vincentiego, który przez kilkadziesiąt lat współpracował z rzeźbiarzem Pawłem Malińskim, profesorem pierwszego Uniwersytetu Warszawskiego.

Rozpoczęcie prac budowlanych w samym centrum południowego dziedzińca uniwersyteckiego było z pewnością nawiązaniem do planów zagospodarowania kampusu, powstałych już w 1811 roku. Stanisław Kostka Potocki pracując nad założeniem architektonicznym dla potrzeb tworzącego się Uniwersytetu zakładał wypełnienie przynajmniej dwóch z trzech ozdobnych dziedzińców. Powstanie Gimnazjum Realnego w pewnym sensie było spełnieniem przynajmniej w połowie właśnie tych idei. Plany Henryka Marconiego zakładały w niedalekiej przyszłości wypełnienie północnego dziedzińca nowym gmachem. Niestety czas pokazał, iż w pierwszej kolejności zlikwidowano *cour d'honneur*. Wzniesienie w końcu XIX wieku gmachu Biblioteki zasłoniło Pałac Kazimierzowski i na zawsze zmieniło klasycystyczną osiowość kampusu. Dopiero w latach 30. XX wieku również północny dziedziniec uniwersytecki został zabudowany; w jego środku stanął gmach Auditorium Maximum.

Dzięki *Kronice* wiemy z całą pewnością, że rok 1844 przyniósł duże zmiany także w wyglądzie Pałacu Kazimierzowskiego. Ze względu na zły stan elementów konstrukcyjnych rozebrana została XVIII wieczna kopuła, ten barokowy akcent gmachu zwieńczony monumentalną rzeźbą orła zrywającego się do lotu (symbol

JERZY MIZIOŁEK
HUBERT KOWALSKI

Pierwsze latarnie gazowe pojawiły się w Warszawie na Placu Zamkowym i na terenie Uniwersytetu

Prof. dr hab. Jerzy Miziołek jest dyrektorem Muzeum UW, a dr Hubert Kowalski jego zastępcą.



M. Mączyński,
Pracownia malarska
zwana amfiteatrem,
olej, płótno, ok. 1860

Rzeczypospolitej), uwieczniona między innymi na obrazach Canaletta i Zalewskiego oraz na rycinach Piwarskiego. Porównując ryciny z lat 20. i 40. szybko dostrzeżemy zmianę w bryle budynku spowodowaną usunięciem kopuły z symbolem Rzeczypospolitej.

W północnej części terenu uniwersyteckiego, przy murze odgradzającym Uniwersytet od klasztoru Wizytek, wybudowano murowany zbiornik, z którego „rurami ołowianymi” rozprzodowano gaz do latarni oświetlających poszczególne gmachy. Pierwsze latarnie gazowe pojawiły się w Warszawie na Placu Zamkowym i właśnie na terenie Uniwersytetu. Czy ten niewielki murowany budynek „przy murze” z czasem przekształcił się w tzw. mały belwederek? Na to pytanie nie jesteśmy dzisiaj w stanie odpowiedzieć. Jednakże po wycofaniu oświetlenia gazowego, budynek z pewnością został zaadaptowany na inne cele i z czasem prawdopodobnie przybrał znacznie ciekawszą formę.

Ostatni, krótki, ale treściwy akapit swej *Kroniki* poświęcił Jarocki na wydarzenia z roku 1846. Pisze przede wszystkim o wprowadzeniu się na piętro Gmachu Audytoryjnego (dawniej nazywanego Gmachem Fizycznym) utworzonej dwa lata wcześniej Szkoły Sztuk Pięknych, będącej jakby odnowionym, ale na poziomie szkoły średniej, Oddziałem Sztuk Pięknych Uniwersytetu Królewsko-Warszawskiego. Wraz ze Szkołą przeniesiona została jej pracownia malarska – tzw. Amfiteatr znany z licznych przekazów pisanych i ikonograficznych – umieszczona w najbardziej wysuniętym na północ pomieszczeniu.

Wojciech Gerson, prawdziwy twórca warszawskiej szkoły malarstwa w 2. połowie XIX wieku, tak wspomina tę przestronną salę ćwiczeń: „Jednym z najlepszych środków zapoznania się z duchem panującym podówczas [około 1850 r.] w Szkole Sztuk Pięknych z temperamentem artystycznym większości z ożywieniem bujnym, jakie tam panowało, będzie zajrzenie na parę godzin, a bodaj na chwilę, do tak zwanego amfiteatru, to jest do Sali w której pracowali uczniowie trzech ostatnich kursów, rysujący i malujący z żywego modelu. Sala była wysoka, bardzo wysoka o dużym oknie, na północ wychodzącym, dobrze oświetlającym i modela i deski uczniów,

wieczorem oświetlona lampą o ześrodkowanych promieniach światła, padających na modela i o kilku lampach wiszących, dla uczniów. Kiedy inne sale były w emfiladzie, przechodnie, dla rysujących, początkujących i figurzystów, ta była oddzielona korytarzykiem, zamknięta, miała nawet schody osobne, przytykała wprawdzie do pracowni profesora Hadzewicza, [w pierwszych latach XX wieku w tym pomieszczeniu wykładano anatomię], ale w każdym razie była o tyle odosobniona, że kiedy profesor w innych salach zajęty był, dawała pole młodzieńczemu ożywieniu, do zupełnie swobodnego wylania się. Toteż od rozpraw do śpiewów i gwizdania można było w niej w takim razie wszystko usłyszeć. Tu, podczas odpoczynków modela, szczególnie wyraźnie występowało na jaw usposobienie każdego”.

Razem ze Szkołą Sztuk Pięknych do Gmachu Audytoryjnego przeniesiono nie tylko „Gabinet Modelów Architektonicznych” (o czym pisze Jarocki), ale również część uniwersyteckiej kolekcji odlewów gipsowych. Ze względu na problemy lokalowe odlewy te przechowywane były także w piwnicach gmachu. Szkoła Sztuk Pięknych mieściła się w Pawilonie Audytoryjnym do 1865 roku. Modele architektoniczne trafiły niebawem do Pałacu Kazimierzowskiego. W setnym numerze „Tygodnika Ilustrowanego” z 1869 roku czytamy: „Z pamiątek starożytnych godzi się tu wspomnieć wyroby Chichi Rzymianina, który doskonale w modelach odtworzył koloseum, bramę tryumfalną Konstantyna Wielkiego i świątynię Sybilli”. Artykuł w „Tygodniku Ilustrowanym” został opatrzony pięknym sztychem, dającym dobre wyobrażenie o tym kolejnym warszawskim muzeum. Poza ustawionymi tu i ówdzie rzeźbami i różnymi przedmiotami rozłożonymi na długim stole dostrzegamy po prawej stronie dwa wielkie modele architektoniczne – świątynię z korynckim portykiem i stojącą za nią budowlę kopułową (model Świątyni Opatrzności). Po lewej stronie, obok okna, daje się łatwo rozpoznać charakterystyczny kształt modelu Koloseum. Korkowy łuk Konstantyna widnieje natomiast na innym sztychu, opublikowanym w tym samym roku w „Kłosach”. Podczas gdy żaden z widocznych na sztychu w „Tygodniku Ilustrowanym” modeli nie dotrwał do naszych dni, model łuku Konstantyna na szczęście wciąż istnieje.

Wróćmy do dawnego Gmachu Audytoryjnego. Dokonana w 1865 roku przebudowa według projektu Bolesława Podczaszyńskiego, mająca przekształcić budynek w gmach Muzeum Sztuk Pięknych, zmieniła nie tylko jego wnętrze, ale także wpłynęła na wygląd elewacji. Muzeum, zgodnie z zamysłem architekta, miało posiadać sale wystawiennicze w podziemiach gmachu. Niestety w tym samym roku Szkoła, której wielu uczniów było uczestnikami powstania styczniowego, przestała istnieć. Niebawem powołano do życia tzw. Szkołę Rysunkową, ale jej dzieje nie są związane z zespołem zabytkowym Uniwersytetu Warszawskiego.

Kronika Feliksa Pawła Jarockiego ukazywała się na łamach „UW” od kwietnia 2012 r.

Wszystkie jej części dostępne są na stronie www.pismo.uw.edu.pl.

GRZEGORZ
BIAŁKOWSKIREKTOR 1985-1989
FIZYK I JEGO WIERSZE

Urodził się w 1932 r. w inteligenckiej warszawskiej rodzinie. Jego ojciec mnóstwo czytał i marzył o stworzeniu w domu czegoś na kształt salonu literackiego. Może dlatego w młodym Grzegorz tak łatwo zaszczerpiono miłość do filozofii i poezji. Debiutował mając prawie trzydzieści lat na łamach literackiego dwutygodnika „Współczesność”. Potem wydał jeszcze co najmniej 5 tomików poezji. Ostatni z nich *Całopalenie* z 1986 r. spotkał się ze sporym zainteresowaniem krytyków. Autor wierszy to Grzegorz Białkowski, rektor i profesor fizyki, kierownik Zakładu Fizyki Teoretycznej Wielkich Energii.

Ten fizyk-poeta skończył matematykę na Uniwersytecie Warszawskim w 1955 r. Jeszcze jako student zaczął pracować w Instytucie Fizyki Teoretycznej. Doktorat zrobił szybko, bo już w 1959 r., sześć lat później się habilitował.

W latach siedemdziesiątych wydał ważne w świecie fizyki pozycje: *Cząstki elementarne* (1971, jako współautor), *Mechanika klasyczna* (1974). Jego naukowa pozycja została nagrodzona tytułem profesora nadzwyczajnego (w 1971 r.) i zwyczajnego (w 1977 r.). Wtedy też został kierownikiem wspomnianego we wstępie zakładu naukowego.

W latach osiemdziesiątych w Grzegorz Białkowskim zrodziła się nowa pasja: działacza społecznego walczącego o ludzką godność, wolność i o prawdę. Był jednak przeciwieństwem typu rewolucjonisty – dążył do łagodnych i spokojnych przemian, do których miało nasz kraj doprowadzić swoiste „oświecenie narodu”. Może właśnie dlatego w 1980 r. był współzałożycielem Towarzystwa Popierania i Krzewienia Nauk. Znamienne, że kolejny tomik wydanych w 1983 r. wierszy *Kłęski wojenne*, ukazał się w podziemnym wydawnictwie Przedświt.

W trudnym dla UW okresie, wiosną 1984 r. Białkowski stanął na czele uczelnianej komisji wyborczej mającej nadzorować wybory rektora. Zwyciężył Klemens Szaniawski, a sprawne przeprowadzenie wyborów – wolne od nacisków i manipulacji – sprawiło, że Białkowskiemu powszechnie dziękowano.

Niestety zaraz po majowych wyborach rektora elekta, komisja elektorów została na pół roku zawieszona przez ministra oświaty. Przez owe pół roku wiele się w Polsce zdarzyło. Zamordo-

wano księdza Jerzego Popiełuszkę, a zbrodnia ta wstrząsnęła całym krajem. Nastroje radykalizowały się i w takiej atmosferze w grudniu 1984 r. „odwieszona” komisja elektorska przeprowadziła wybory nowego rektora. I tu największe zaufanie zyskał nasz bohater. Białkowski pokonał kontrkandydata, wspieranego przez uczelnianą PZPR prorektora profesora Stanisława Kałużyńskiego. Przez jakiś czas zastanawiano się, czy nie powtórzy się sytuacja sprzed roku i czy rektor elekt zostanie zatwierdzony przez ministra oświaty. Ostatecznie 15 lutego wybór rektora minister zatwierdził, choć nie zgodził się na to, by prorektorem został wybitny historyk prof. Antoni Mączak.

Mniej więcej wtedy ten fizyk-poeta napisał wiersz *Zmęczenie*:

„Stuka do moich drzwi moje milczenie
Jest tak bardzo zmęczone
Głuchną w nim gwiazdy i świece
Jest tak bardzo uparte
Nawet śmierć go nie spłoszy”

(ze zbioru *Całopalenie*).

Tymczasem świat zaczynał się szybko zmieniać. Wiosną 1985 r. w ZSRR rozpoczęła się pierestrojka. Naciski i „opieka” władz partyjnych nad uczelnią wyraźnie słabły. W grudniu 1986 rektor Białkowski zgodził się być członkiem Rady Konsultacyjnej przy przewodniczącym Rady Państwa. Rada ta miała spełniać rolę forum dyskusyjnego o sprawach społecznych i państwowych. Działalność jej zaowocowała obradami Okrągłego Stołu, rozpoczętymi w lutym 1989 r. Białkowski brał udział w tych obradach po stronie solidarnościowej. W wyborach z 4 czerwca 1989 został wybrany senatorem I kadencji w województwie piotrkowskim. Jeździł wtedy po kraju, włączając się w nurt odnowy. Niestety, liczne wiece i przemówienia nadwyrężyły zdrowie profesora.

Niedługo przed uroczystym złożeniem ślubowania senatorskiego rektor Grzegorz Białkowski nagle źle się poczuł. Nie wytrzymało serce profesora. Wezwany lekarz był bezradny i stwierdził zgon, który nastąpił 29 czerwca 1989 r. Na uroczystości pogrzebowe przybyła rzesza studentów. Przemawiali profesorowie: Andrzej Stelmachowski i Henryk Samsonowicz. Był także Lech Wałęsa, który podziękował zmarłemu rektorowi za tak znakomity udział w przemianach ojczyzny.

POCZET
REKTORÓW

Dr Robert Gawkowski
jest historykiem, pracuje
w Muzeum UW.

Poczet rektorów UW ukaże
się też niedługo w serii
*Monumenta Universitatis
Varsoviensis*.



ODESZLI

18.07.2013

PROF. DR HAB.
WŁADYSŁAW MAREK TURSKI

jeden z prekursorów informatyki jako samodzielnej
dyscypliny naukowej, współtwórca i wieloletni dyrektor
Instytutu Informatyki

3.08.2013

PROF. DR HAB.
ANTONI NOWAKOWSKI

specjalista w dziedzinie petrologii, emerytowany
pracownik Wydziału Geologii

9.08.2013

PROF. DR HAB.
MARIAN PRZEŁĘCKI

jeden z najwybitniejszych polskich filozofów,
emerytowany pracownik Wydziału Filozofii i Socjologii

14.08.2013

DOC. DR HAB. N. MED.
KAZIMIERZ JANKOWSKI

propagator psychiatrii humanistycznej, autor badań nad
fizjologicznymi aspektami schizofrenii, były pracownik
Wydziału Psychologii

19.08.2013

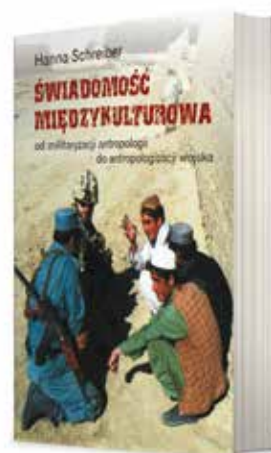
PROF. DR HAB.
GRACE WALES SHUGAR

znawczyni problematyki psycholingwistyki rozwojowej,
wieloletni pracownik Wydziału Psychologii

HANNA SCHREIBER

Świadomość międzykulturowa. Od militarystyki antropologii do antropologizacji wojska

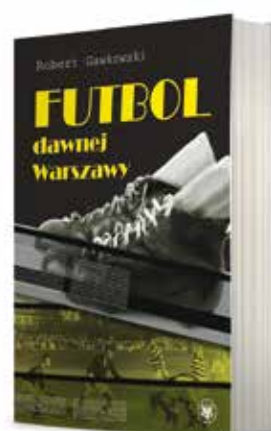
Autorka, skupiając uwagę na perspektywie antropologicznej i wojskowej, wieloaspektowo charakteryzuje kształtowanie się świadomości międzykulturowej oraz formy i metody jej urzeczywistnienia w ramach wielonarodowych kontyngentów wojskowych. Odnosi się do ocen wpływu uwzględnienia czynnika kulturowego na efektywność operacji prowadzonych przez międzynarodowe siły wojskowe. To właśnie czynnik kulturowy przesądza o konieczności „dozbrojenia” żołnierzy w świadomość kulturową i międzykulturową. Narzędzie to nie powinno być jednak celem samym w sobie (swoistą kulturową poprawnością, równie jałową jak polityczna poprawność), lecz środkiem do celu, jakim jest przywrócenie bezpieczeństwa i możliwości rozwoju – z poszanowaniem lokalnych norm kulturowych – w państwach naznaczonych wieloletnią przemocą, biedą i brakiem perspektyw dla ludności cywilnej.



ROBERT GAWKOWSKI

Futbol dawnej Warszawy

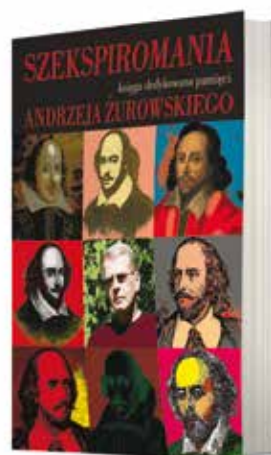
Książka jest popularnonaukowym zarysem dziejów piłki nożnej w Warszawie w okresie od początku XX wieku do roku 1950. Autor omawia m.in. takie zagadnienia, jak: futbol w czasie I wojny światowej, rozgrywki ligowe w Warszawie, polityczne i narodowościowe zróżnicowanie klubów w okresie II Rzeczypospolitej, infrastruktura sportowa, kibice, futbol podziemny w czasie II wojny światowej. Praca jest bardzo bogato ilustrowana. Zamieszczono w niej m.in. kolorowe godła i zdjęcia strojów piłkarzy poszczególnych drużyn, które zostały zrekonstruowane na podstawie zapisów statutowych, klubowych druków, pieczętek, plakatów, pamiątkowych znaczków i historycznych zdjęć.



POD REDAKCJĄ ANNY CETERY

Szekspiromania. Księga dedykowana pamięci Andrzeja Żurowskiego

Zbiór esejów dedykowany pamięci wybitnego szekspirologa Andrzeja Żurowskiego (1944-2013), poświęcony interpretacji i recepcji twórczości Szekspira. Ujęte w spójne bloki tematyczne teksty obejmują historię i współczesność teatru szekspirowskiego w Polsce i na świecie, studia krytyczne dzieł Szekspira, a także szeroko pojętą obecność Szekspira w kulturze: w muzyce, ikonografii, przekładzie. Literaturoznawcy, krytycy i twórcy omawiają obecność Stratfordczyka w teatrze (m.in. inscenizacje Brooka, Korsunovasa, Brauna, Wiśniewskiego, Klaty, Warlikowskiego), jego rolę w przełomach estetycznych i politycznych różnych epok i krajów, jak również inspiracje szekspirowskie w literaturze (m.in. w utworach Słowackiego, Norwida, Dostojewskiego, Szyborskiej). Bogate, wielogłosowe studium fenomenu współczesnego i globalnego Szekspira.





■ Co prawda lato dobiegło już końca, jednak wszystkich, którzy pragną złapać ostatnie promienie słońca, zapraszamy do uniwersyteckich ogrodów.

■ Ogród Botaniczny w Alejach Ujazdowskich czynny będzie do końca października. W zimie park jest zamknięty, dostępne są natomiast szklarnie, ale tylko dla wycieczek z przewodnikiem.

■ Także do końca października podziwiać można kolory jesieni w ogrodzie dachowym Biblioteki Uniwersyteckiej na Powiślu. Od listopada do marca zwiedzać będzie można jedynie park wokół biblioteki, dach będzie w tym okresie zamknięty.

■ *Fot. M. Kaźmierczak*